POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 21-go października 1944r.* **Rok VI. Nr. 42**

PRZYSZŁOŚĆ "PIĄTEJ KOLUMNY"

Organ prasowy Heinricha Himmlera, *"Das Schwarze Korps"*, zapowiedział, że Niemcy nie pogodzą się z przegraną, nie skapitulują, lecz będą walczyć do ostatka, chociażby w oddziałach partyzanckich, względnie w wielkim, niemieckim ruchu podziemnym. Należy z tego wnioskować, że wszystkie przygotowania są już w tym kierunku robione. Próba ta zostanie podjęta. Od stanowczości i sprężystości alianckiej akcji wojskowej oraz od poczynań administracji okupacyjnej w Niemczech zależeć będzie, w jakiej mierze desperackie zamiary narodowego socjalizmu się urzeczywistnią. Jesteśmy ciemni, jak tabaka w rogu, co do polityki okupacyjnej, co do systemu okupacyjnego, jaki wielka aliancka trójka chce stosować w Niemczech. Trudno więc ważyć *pro* i *contra* obecnych planów arcyrzezimieszka Himmlera. Raczej jestem pełen najczarniejszych przewidywań, że mogą one w pierwszym stadium okupacji, wystrychnąć na dudka wielu mędrców z SHAEF'u, z tej instytucji alianckiej, która nie powinna mieć żadnych złudzeń co do gatunku przeciwnika.

Zastanawiając się więc na razie tylko nad instrumentami przyszłej polityki oporu narodowego socjalizmu w podziemiach, pragnąłbym zwrócić uwagę na — mniejszości niemieckie. Możliwości działania członków mniejszości niemieckich w Europie mogą być znacznie swobodniejsze i szersze od możliwości partyzantów nazistowskich w okupowanych przez zwycięzców Niemczech. O ile oczywiście Narody Zjednoczone nie zapomną, że zaraza narodowo-socjalistyczna nietylko szaleje w Niemczech, ale i poza ich granicami; że kwarantanny wymagają nietylko Niemcy na dotychczasowym obszarze Rzeszy, ale i Niemcy, legitymujący się paszportami różnych innych państw europejskich.

Mniejszości niemieckie w Estonii, na Łotwie, na Litwie i w Rosji zostały zlikwidowane przez przesiedlenie ich na teren zachodniej Polski, północnej Jugosławii oraz częściowo — w bardzo małym odsetku — na teren Alzacji i Lotaryngii. Niemcy na terenie tak zwanego "Protektoratu", w Polsce, w Luxemburgu oraz częściach Francji, Belgii i Jugosławii, włączonych w obszar *Grossdeutschland*, zostali zrównani w prawach z mieszkańcami właściwej Rzeszy. Minister spraw wewnętrznych Rzeszy wydał szereg rozporządzeń, że Niemcy z tych terenów mają otrzymać odszkodowanie za wszystkie materialne straty, jakie ponieśli ze strony władz państwa, którego dotąd byli obywatelami oraz ze strony swych współobywateli narodowej większości. Prawo do odszkodowania pojęto bardzo szeroko, między innymi podciągnięto na przykład pod nie straty, wynikające w przeszłości ze spadku waluty danych krajów. W Alzacji i Lotaryngii odszkodowanie objęło okres wstecz aż do 1 stycznia 1926 roku.

Mniejszość niemiecka pozostała w Rumunii, na Węgrzech, w Słowacji, Kroacji, Serbii oraz Danii. Berlin dał jej, jako przedstawicielowi *Herrenvolku*, pełne polityczne poparcie dla wyraźnego uprzywilejowania w stosunku do otaczających ją większości. W szczegółach przywileje prawne niemieckiej grupy narodowej w tych poszczególnych państwach były jednak różne, bo zależne od warunków lokalnych. Wszędzie jednak mniejszość niemiecka otrzymała zupełną autonomię polityczną i stała się osobą prawa publicznego. Wszędzie zostały stworzone organizacje narodowo-socjalistyczne, będące żywą kopią tego, co widzimy w Trzeciej Rzeszy. Mniejszość otrzymała swe własne szkoły, prowadzone według programów, obowiązujących w Niemczech. Pod różnymi nazwami, ale na zasadzie instrukcji S.A., mniejszości niemieckie potworzyły nie tylko własne organizacje paramilitarne, ale i uzbrojone po zęby oddziały samoobrony. W Rumunii jedne z tych oddziałów nazwane zostały *Deutsche Mannschaft*, jako odpowiednik S.A. Odpowiednikiem S.S. Niemców rumuńskich stały się *Einsatzstaffeln*. S.S. Niemców kroackich nazwały się *Heimwacht*. Na Węgrzech działa niemiecki *Heimatschutz*.

Członkowie mniejszości niemieckich w tych krajach zostali zaprzysiężeni na wierność wodzowi Trzeciej Rzeszy — Adolfowi Hitlerowi. W imię zasady pokrewieństwa "krwi" organizacje niemieckie zaczęły oddziaływać nawet na rodziny dawniej niemieckie i już zasymilowane ze środowiskiem narodowej większości. Na skutek tego nastąpił — szczególnie na Węgrzech — proces regermanizacji wielu nazwisk rodzinnych, już zmadziaryzowanych czy zrumunizowanych. Na ulicach miast i osiedli, zamieszkałych przez mniejszość niemiecką, pojawiły się niemieckie napisy. Język niemiecki został uznany za język urzędowy w urzędach państwowych. Niemcom, obywatelom tych państw, przewróciło się we łbach.

Zasada państwa w państwie została urzeczywistniona w całości. I nie potrzeba szerzej udowadniać, że ten instrument ułatwił polityce Trzeciej Rzeszy utrzymywanie satelitów w posłuchu. Kiedy na przykład na wiosnę 1943 roku rozeszła się pogłoska, że Niemcy zamierzają stworzyć w basenie naddunajskim i na Bałkanach jedno wielkie niemieckie państwo naddunajskie, mniejszości niemieckie na tym terenie rozpoczęły propagandę antyrządową nawet w stosunku do najbardziej posłusznych Berlinowi ministrów satelickich, aby odebrać im ochotę do — oporu.

Znaczny jest wkład europejskich mniejszości niemieckich do uzupełnienia stanu liczebnego armii niemieckiej. Kierownictwo Trzeciej Rzeszy, uważając, że ma w członkach niemieckich mniejszości najbardziej fanatyczny element, rekrutowało od chwili wybuchu wojny Niemców z poza Rzeszy przede wszystkim do oddziałów S.S. */Waffen-S.S./*. Do frontowych oddziałów S.S. zaczęto ściągać nawet Niemców z krajów satelickich, mimo, że w niektórych z nich — n.p. w Kroacji — tworzono z Niemców osobne, niemieckie oddziały danych armii. Na początek 1944 roku mniejszości niemieckie były w S.S. reprezentowane w następującym — w przybliżeniu oczywiście składzie:

Z Węgier	—	40.000	Niemców
Z Rumunii	—	60.000	„
Ze Słowacji	—	15.000	„
Z Kroacji	—	15.000	„

Jest charakterystyczne, że członkowie mniejszości niemieckiej przez swój udział w S.S. nie tracą swego dawnego obywatelstwa, zatrzymują paszporty: rumuński, węgierski, słowacki i t.d.

Nic dziwnego, że w październiku 1943 Heinrich Himmler uważał za stosowne w czasie odprawy najwyższych przewódców partii narodowo-socjalistycznej podnieść ogromne zasługi mniejszości niemieckich w obecnej wojnie. O tych "zasługach" nie powinni zapomnieć i alianccy mężowie stanu. Wydaje się konieczne podkreślić, że Narody Zjednoczone, przygotowujące listę zbrodniarzy wojennych, powinny myśleć o zbadaniu działalności przewódców mniejszości niemieckich: panów Karmasina ze Słowacji, dr. Franza Bascha z Węgier, Branimira Altgayera z Kroacji, Andreasa Schmidta z Rumunii, dr. Sepp Janko z Serbii i dr. Möllera z Danii.

Bardzo istotną rolę w działalności mniejszości niemieckich na europejskim kontynencie miała także i w czasie wojny *Auslandsorganisation der N.S.D.A.P.*, stanowiąca niejako zagraniczny okręg partii nazistowskiej. Zrzesza ona wszystkich Niemców, obywateli niemieckich, przebywających zagranicą. Członkami jej są ambasadorowie na równi ze swą służbą, pastorzy niemieccy, jak i przedstawiciele firm niemieckich. Jej członkowie dozorują prace mniejszości niemieckiej w krajach, w których taka mniejszość istnieje. W krajach, w których mniejszości niemieckiej nie ma, oni są jedyną "piątą kolumną", aktywność ich staje się wtedy bardziej bezpośrednia.

Okres obecnej wojny polityka niemiecka na kontynencie zużytkowała dla uzyskania dla obywateli Trzeciej Rzeszy jak największych przywilejów w zakresie prawa dla cudzoziemców. W szczególności kierownictwu Trzeciej Rzeszy zależało na tym, aby polityczna i propagandowa działalność ich obywateli zagranicą była jak najmniej krępowana. Uzyskiwano to, grożąc danemu krajowi najdalej idącymi konsekwencjami politycznymi. Nie na próżno szefostwo *Auslandsorganisation* jest jednym z departamentów niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Działalność tej organizacji była w tej wojnie szczególnie zwrócona w kierunku państw neutralnych. W krajach okupowanych bowiem działały normalne organa partii, wśród satelitów zaś działały mniejszości. *Auslandsorganisation* żywo zainteresowała się m.i. w tej wojnie Szwajcarią. Wydawano tam pismo *"Deutsche Zeitung in der Schweiz"*, urządzano niezliczoną ilość zjazdów, starano się przytłoczyć Szwajcarię propagandą wielkości i ideowej spoistości Rzeszy. Niewątpliwie chodziło także o stworzenie klimatu dla separatystycznego ruchu w niemieckich kantonach Szwajcarii, któremu przewodził Jakob Schaffner, głoszący hasła zespolenia niemieckich Szwajcarów z narodowo-socjalistyczną Rzeszą. Instrumentem jego akcji w Szwajcarii była tak zwana *Nationale Bewegung*. Pozostanie jedną z pięknych kart polityki szwajcarskiej w tej wojnie, że mały ten kraj umiał obronić się przed wszystkimi iredentystycznymi zakusami.

Uwagi moje nie wyczerpują wszystkich przejawów akcji Niemców poza granicami Rzeszy w tej wojnie. Niemniej starczy przykładów dla postawienia szeregu wniosków.

1/ Tak polityka mniejszości niemieckich, jak i aktywność obywateli niemieckich poza granicami Rzeszy w tej wojnie nie miały nic wspólnego z obroną uprawnionych interesów poszczególnych Niemców, członków mniejszości. Działalność Niemców na kontynencie europejskim służyła przede wszystkim imperialistycznej polityce Trzeciej Rzeszy.

2/ Gęsta sieć organizacyjna, jaką narodowy socjalizm oplótł kontynent, grozi pozostawieniem w Europie uwolnionej od bezpośredniego, militarnego niebezpieczeństwa niemieckiego, zawiązków podziemnego ruchu niemieckiego faszyzmu. Ruch ten może probować schronić się pod płaszczyk nieniemieckiego obywatelstwa państwowego i za parawan nie-niemieckiego paszportu.

3/ Zagadnienie przyszłości politycznej Niemiec nie może być rozwiązane bez wzięcia tych faktów pod uwagę. Zalążki niemieckiej reakcji trzeba zniszczyć nie tylko w Niemczech samych, ale i poza granicami Niemiec, wszędzie tam, gdzie działali Niemcy według jednolitych instrukcji z nazistowskiego Berlina.

JÓZEF WINIEWICZ



Przegląd tygodniowy

BITWA JESIENNA NA ZACHODZIE

Bitwa na zachodnim froncie *"Festung Deutschland"* toczy się dalej bez rozstrzygających wyników. Osiągnęła największe natężenie w obszarze Akwizgranu, osaczonego, zmiażdżonego bombami i pociskami, stopniowo zdobywanego przez Amerykanów. Miasto to koronacyjne szeregu "rzymskich cesarzy", będące tym dla Niemców, czym Kraków dla Polaków, pierwsze z wielkich miast niemieckich osiągnięte przez inwazję, bronione jest zgodnie z zapowiedziami Goebbelsa i Himmlera do upadłego. Zgodnie z ich zapowiedziami gruzy tylko dostaną się zwycięzcom. Ale jest to zarazem zapowiedź losu, czekającego dalsze miasta niemieckie, jeśli będą zamieniane w ośrodki niemieckiego oporu. We wrześniu 1939 roku Niemcy druzgotali Warszawę, uzasadniając niszczenie miasta tym, że stało się "fortecą" bronioną przez wojska nasze. W maju 1940 r. burzyli bombami Rotterdam z tej już tylko racji, że mogło to złamać ducha Holendrów. W rok później zbombardowali bez wypowiedzenia wojny Belgrad już tylko po to, by się zemścić na Jugosławii za odrzucenie ich dyktatu. Teraz odwrócił się los. "W proch i pył" obraca się Akwizgran, obracają się leżące dalej w tyle ośrodki komunikacji, zaopatrzenia i produkcji wojennej jak Kolonia, Duisburg, Münster. "Wojna totalna" niszczy własnych jej twórców. Na Duisburg padł w jednym dniu większy ciężar bomb, niż na Londyn w toku całej wojny. Naród niemiecki staje w obliczu zniszczenia tak całkowitego, że pogróżki jego hitlerowskich wodzów stają się puste. Chcą zniszczenia — będą je mieli. Chcą wystawiać ludność cywilną na zagładę — idzie zagłada. Niemieckie *"Vernichtungswille"* /pragnienie zagłady/, godzi już we własne istnienie Niemiec.

Do bitwy o Akwizgran rzuciły Niemcy swe odwody pancerne z odsieczą. Odsiecz załamała się przy dotkliwych stratach, zadanych dywizjom pancernym przez lotnictwo i artylerię Sprzymierzonych. Przewaga armii Hodge'a utrzymała się w całej pełni.

Dalej zaś na północ w obszarze Nijmegen na niemiecko-holenderskiej granicy armia Dempseya atakuje z kolei nad Mozą. Inicjatywa przeszła tu definitywnie w ręce Brytyjczyków.

Armia kanadyjska walczy dalej zacięcie po obu stronach ujścia Skaldy by otworzyć dostęp do Antwerpii, niesłychanie doniosły dla dalszego przebiegu kampanii.

W niedawnym oświadczeniu wódz naczelny sprzymierzonych sił zbrojnych na Zachodzie, gen. Eisenhower, wyraźnie stwierdził przeciąganie się bitwy i możliwość kampanii zimowej. Zwrócił uwagę na przedłużenie się linii komunikacyjnych, wielkie trudności zaopatrzenia i transportu, zależność od niewielu portów i to odległych — jak dotąd czynny w pełni tylko Cherbourg poza syntetycznym portem u plaż normandzkich, na ogrom ośrodków potrzebnych do pełnego rozwinięcia posiadanej przewagi w walnej bitwie.

W tym związku staje się jasne, o co walczy armia kanadyjska, a z nią nasza dywizja pancerna i dlaczego Niemcy zostawili znaczne siły na przepadłe w tym kącie Holandii i w różnych, dawno już odciętych portach francuskich. Jeszcze sto tysięcy Niemców zginie lub pójdzie do niewoli, ale przez to przedłuża się wojna.

Na co liczą, przedłużając ją, niebardzo jest jasne, skoro "tajemnicze bronie" czy "odwetowe", nawet w ich propagandzie tracą na znaczeniu, skoro odwody ze wszystkich stron ściągnięte uwikłane są w ciężkich walkach, a nowe formacje z "hypertotalnej" mobilizacji — chłopcy, starzy, cherlaki — pod dumną nazwą *"Volksgrenadiere"* już paczkami idą w ogień jako prawdziwe mięso armatnie. Jeszcze może trochę liczą, że jak w końcu wojny siedmioletniej za starego Fryca koalicja się rozprzęgnie i Rosja poróżni się i rozstanie z zachodnimi sprzymierzeńcami. Jednakże propaganda ich ostrzega raczej przed podobnymi złudzeniami. Są one zresztą zbyt wyraźnie przekreślone przez wypadki ostatniego tygodnia na Wschodzie Europy.

WIELKIE WYDARZENIA NA POŁUDNIOWYM WSCHODZIE

W ciągu ostatnich miesięcy rozmach ofensywy Sprzymierzonych na Zachodzie zdawał się określać bieg wojny. Zarazem jednak otwarł się w zalewanej od zachodu *"Festung Europa"* nowy wyłom na południowym wschodzie przez odpadnięcie od Niemiec Rumunii i za nią Bułgarii, wtargnięcie wojsk sowieckich do Węgier i na Bałkany. Otwarła się ta sama brama, którą wkroczyło w 1918 roku zwycięstwo koalicji nad państwami centralnymi. Rezultaty były do przewidzenia.

Grecję, śpiesznie ewakuowaną przez Niemców, oswobadzają własne jej wojska powstańcze przy potężnym wsparciu brytyjskim z morza i z powietrza. Ateny wolne. Po Paryżu i Brukseli trzecia z ujarzmionych stolic odzyskuje swoje prawa. Żywo staje nam w pamięci bohaterstwo Grecji okazane w walce z najazdem włoskim w 1940 roku, mężna postawa wobec walącej się na nią potwornej przemocy niemieckiej, późniejszy opór stawiany okupantowi i cierpienia, podobne cierpieniom Polski. Poznaliśmy Grecję walczącą, życzymy szczęścia i rozkwitu wyzwolonej.

Rosjanie wraz z wojskami powstańczymi jugosłowiańskimi dotarli do Belgradu, o który jeszcze toczy się walka. Oswobodzenie Jugosławii od okupacji niemieckiej postępuje szybko. Jej premier, ban Chorwacji Subaticz, udał się do marszałka Tito celem porozumienia się co do przejęcia władzy w stolicy przez prawowity rząd.

Wojska sowieckie wzięły Cluj, stolicę Siedmiogrodu. Posuwają się naprzód na terytorium węgierskim, sforsowały Cisę. Pod Debreczynem toczy się wielka bitwa z masowym użyciem czołgów. Rosjanie są już o kilkadziesiąt kilometrów od Budapesztu. Regent Horthy wystąpił do Sprzymierzonych o zawieszenie broni. Ale Niemcy odpowiedzieli na to opanowaniem Budapesztu, likwidacją rządu węgierskiego, oddaniem władzy w ręce oddanej im grupy faszystowskiej Salaszy'ego. Węgrzy biją się o Budapeszt z Niemcami.

W chwili tej, gdy decydują się losy Węgier, my żołnierze myślimy nie tyle o błędnej ich polityce, która ich sprzęgła z naszym odwiecznym wrogiem i doprowadziła do przepaści, ile o przyjaźni i sercu, okazywanym nam stale w nieszczęściu wbrew tej polityce i interesom chwili, o serdecznej gościnie doznanej przez tysiące Polaków na ich ziemi, życzliwości, okazywanej naszym rodakom przez ich wojska na ziemi polskiej.

Z odpadnięciem Węgier tracą Niemcy ostatniego pozostałego im sojusznika, co jest przypieczętowaniem politycznym katastrofy ich systemu europejskiego *"Neuordnung"*. Pod względem strategicznym może to oznaczać raptowne przesunięcie się wojny prawie do bram Wiednia, aż do bramy Preszburskiej między Karpatami i Alpami; konieczność stwarzania na nowo improwizowanego frontu od Tyrolu gdzieś po Tatry. Czy zdołają wogóle front taki odtworzyć, zależy od tego, w jakiej mierze zdążą wycofać swe siły uwiązane w południowej Europie, w jakich stanach liczebnych, o ile zdolne do bezpośredniego wznowienia walki.

Zdaje się, że wydarzenia nad Dunajem przesądziły losy kampanii włoskiej. Kesselring zbyt długo wygrywał na czasie. Teraz nie mą chwili do stracenia, jeśli ma zdążyć z odwrotem.

WYDARZENIA NA PÓŁNOCNYM WSCHODZIE

Również na północnym skrzydle frontu wschodniego tydzień ostatni przyniósł ważne wypadki. Wojska sowieckie wzięły Rygę. Pod Połągą i w obszarze Kłajpedy dotarły do Bałtyku, odcinając raz jeszcze wojska niemieckie w Kurlandii od Prus Wschodnich. Nie zdaje się jednak, by były to znaczne siły. Dwie armie niemieckie w krajach bałtyckich zdołały się bodaj wycofać szczęśliwie, częścią przez Kurlandię na Kłajpedę, częścią morzem. Są zapewne zebrane dziś w Prusach Wschodnich.

Na dalekiej północy wzięli Rosjanie natarciem kombinowanym wojska i marynarki port fiński Petsamo nad Oceanem Lodowatym. Zagraża to poważnie sytuacji armii niemieckiej w północnej Finlandii, armii już może zaprzepaszczonej. Byłby to nowy sukces strategii "kaprala Schickelgruber", którą Churchill nazwał niedawno cennym sojusznikiem Sprzymierzonych.

ORGANIZACJA POKOJU

Gdy tak dojrzewają szybko nowe wielkie rozstrzygnięcia, prasa całego świata dyskutuje propozycje konferencji przedstawicieli czterech mocarstw, odbytej w Dumbarton Oaks, w sprawie organizacji powojennego świata.

Ma to być coś pośredniego między wilsonowską Ligą Narodów, utworzoną po tamtej wojnie, a stworzonym po wojnach napoleońskich Świętym Przymierzem, mającym strzec ustalonego na kongresie wiedeńskim stanu rzeczy. Ma być zespół Zjednoczonych Narodów i zgromadzenie ich reprezentantów. Ale prawo decyzji nie należy — jak w Lidze Narodów — do Zgromadzenia. Akcja zmierzająca do utrzymania lub przywrócenia pokoju ma zależeć od decyzji Rady Bezpieczeństwa, do której wejdą cztery mocarstwa: W. Brytania, Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki i Chiny, oraz w przyszłości Francja. Sześciu innych członków Rady wybierałyby mniejsze państwa. Otwartą pozostawiono kapitalną kwestię, czy ta Rada może stanowić większością głosów wbrew stanowisku jednego z mocarstw. Sowiety zdają się obstawać przy zasadzie ich jednomyślności. W tym wypadku represje mogłyby się zwracać tylko przeciw mniejszym państwom. "Prawo silniejszego" pozostałoby nienaruszone. Rada nie mogła by powziąć nawet takich decyzyj, o znaczeniu czysto moralnym, na jakie zdobywano się w Genewie.

Projekty z Dumbarton Oaks mniej jednak zaprzątają dziś umysły, niż sprawy polityczne, które stały się probierzem stosunku wielkich mocarstw sprzymierzonych do praw i wolności narodów. Wśród nich jako probierz, *"test-case"*, wysunęły się na czoło dwie: sprawa nienaruszalności terytorialnej Grecji i Jugosławii oraz bezpieczeństwa Turcji — i sprawa polska.

Co do sprawy greckiej i jugosłowiańskiej szło o to, by zmusić Bułgarię, dziś współwalczącą z Sowietami, do zwrotu zawładniętych terytoriów w Tracji i Macedonii. To osiągnięto. Także i w stosunku do Turcji niepokojące wypowiedzi moskiewskie urwały się, co zdaje się wskazywać na dojście do porozumienia między mocarstwami co do spraw Bliskiego Wschodu.

Nie po raz pierwszy w dziejach ważą się jednocześnie z losami Bliskiego Wschodu losy Polski. "Kwestia wschodnia" i "kwestia polska" splatały się nieraz w przeszłości.

Odbywają się w tej chwili w Moskwie narady premiera Churchilla z marsz. Stalinem. Wiemy, że idzie o nasze sprawy. Nasz premier zaproszony został do udziału w konferencjach. Dochodzą ich odgłosy.

Gdyby wynikiem ich było porozumienie między Związkiem Sowieckim a nami, oparte na poszanowaniu wzajemnym praw, zgodne z zasadą naszej suwerenności i z naszą godnością narodową, byłoby to nietylko zbawcze dla Polski, która tyle wycierpiała i tyle poniosła ofiar dla wspólnej sprawy. Byłoby to również pomyślne dla Związku Sowieckiego, który według zapewnień jego wodza potrzebuje Polski wolnej, silnej, przyjaznej. A poza tym ratowałoby to moralną pozycję mocarstw, prowadzących tę wojnę przeciw rozbojowi niemieckiemu po to przecie, ażeby nie siła była przed prawem, ale sprawiedliwość i prawo panowały w stosunkach wzajemnych państw i narodów.

Na wynik narad moskiewskich wyczekują z zapartym tchem nietylko Polacy.

TRIARIUS

Wojna na morzu

SERIA TAJNYCH BRONI A RZECZYWISTOŚĆ

Jak dotychczas Niemcy uruchomili na lądzie, na morzu i w powietrzu kilka z zapowiedzianych tajnych broni. W wojnie morskiej między innymi t. zw. "ostrygi" (miny uniwersalne — magnetyczne, akustyczne i kontaktowe zarazem), żywe torpedy, brandery motorowe kierowane teleelektrycznie i ręcznie, pułapki minowe pływające (podobno ładunki wybuchowe przywiązywano nawet topielcom, licząc, że wybuchną wśród ratujących marynarzy alianckich), dalekonośne moździeże itd. Oprócz tego szereg "wynalazków" powietrznych skierowany był również przeciwko okrętom sprzymierzonym.

A jednak okręty te jakoś sobie poradziły. I ani na chwilę nie udało się Niemcom powstrzymać naszych operacji na La Manche, Atlantyku, Morzach Północnym i Śródziemnym. Choć były to właśnie wody ciasne, przybrzeżne, a w każdym razie ze względu na położenie geostrategiczne łatwe do obrony z lądu i powietrza.

Natomiast mniej się słyszy o tajnych broniach w ręku Sprzymierzonych, a jeszcze mniej o przeciwdziałaniu niemieckim tajnym broniom. Jedno i drugie jednak istnieje. Okazało się, że wał atlantycki został złamany środkami z jednostek pływających, a samoloty niemieckie już bardzo nie lubią ognia przeciwlotniczego z okrętów. Ogień ten nabrał takich zalet, że wiele atakujących samolotów skazanych jest na zagładę, a pozostałe rzadko kiedy są w stanie przeprowadzić nalot do końca.

Dalecy jesteśmy od lekceważenia tajnych broni Hitlera. Niektóre są jeszcze groźne, a przeciwdziałanie nie zawsze jest skuteczne i nie zawsze może nastąpić w odpowiednim czasie. Łudzą się ludzie myślący, że wojna skończy się za dwa tygodnie . . . spacerem do Berlina. Ale choćby nawet Hitler, w porywie zbrodniczej wściekłości, zbombardował Anglię — ten zakotwiczony na stałe u brzegów Europy lotniskowiec — to i tak niewiele mu to pomoże. W tej chwili bowiem zasoby i posiłki na kontynent niekoniecznie muszą iść z wysp brytyjskich. Lotnictwo może już działać z Francji. A marynarka nie tylko przewiezie to wszystko tam gdzie trzeba, ale potrafi uruchomić swoje bazy operacyjne i taktyczne w takich miejscach, gdzie będą one mniej lub więcej bezpieczne od działań nieprzyjaciela.

Im bardziej kurczy się "cytadela niemiecka", tym więcej rozszerza się stan posiadania Aliantów, dając im nowe możliwości strategiczne. Wszystko to zaś dzieje się niezaprzeczenie w oparciu o panowanie na drogach morskich — dzięki tysiącom okrętów wojennych.

KŁOPOTY TRANSPORTOWE

Podczas gdy wszystkie transporty Sprzymierzonych — morzem czy lądem — poruszają się swobodnie, transport niemiecki przechodzi ciężki kryzys. Bombardowane koleje nie są w stanie podołać zadaniu, brak jest taboru, części wymiennych, a stan torów i innych instalacyj, jak mosty, wiadukty i t.p., pogarsza się z każdym dniem. Transport drogowy jest również nadszarpnięty, a przy tym Niemcy zmuszeni są oszczędzać materiałów pędnych. Nic więc dziwnego, że usiłują wykorzystać do maksimum transport morski, nietylko u brzegów Norwegii, gdzie warunki geograficzne do tego zmuszają, ale wogóle wszędzie gdzie się da.

Jednak "trafiła kosa na kamień". Okręty i samoloty Sprzymierzonych tropią i atakują transportowce niemieckie u brzegów Francji, Belgii i Holandii, wokół Jutlandu, na wodach norweskich, włoskich, greckich, a nawet na Bałtyku. Prawie co noc samoloty Sprzymierzonych /w tym i polskie/ stawiają miny przed portami i na szlakach żeglugi nieprzyjaciela. Straty tonażu niemieckiego powiększają się z każdym dniem. A wraz z tym tonie sprzęt i zaopatrzenie, toną surówce strategiczne i materiały pędne, których Niemcy nie mają wszak za wiele.

Tymczasem admiralicja amerykańska ogłosiła, że od roku 1942 nie zginął na północnym Atlantyku ani jeden amerykański transportowiec z wojskiem, sprzętem czy zaopatrzeniem. A admirał Cunningham stwierdził, że z olbrzymiej ilości transportowców brytyjskich ginie ostatnio zaledwie jeden na czterysta.

WSPÓŁPRACA LOTNICTWA Z MARYNARKĄ

Ludzie twierdzący, że lotnictwo może samo rozstrzygać w walkach morskich, nie rozumieją idei współpracy strategicznej. Oczywiście — lotnictwo jest czynnikiem potężnym i w pewnych wypadkach bardzo skutecznym. Ale, pomijając już zależność od pogody, samo przez się nie rozstrzyga strategicznie. Pod Matapan lotnictwo wypatrzyło nieprzyjaciela i uszkodziło mu pancernik, ale bitwę stoczyła flota. Nie inaczej było z "Bismarckiem". A na wodach Pacyfiku, choć miały miejsce wielkie bitwy powietrzne i powietrzno-morskie, to jednak trzeba było floty aby lotnictwo podsunąć na właściwy akwen operacyjny, zapewnić mu bazy i poprzeć działaniami morskimi.

W operacjach przybrzeżnych rola marynarki w niczym się nie zmniejszyła. Lotnictwo zwiększyło tylko jej możliwości. Obie te dziedziny wspierają się wzajemnie. I tak samo obie współpracują strategicznie /a często i operacyjnie/ z wojskiem.

TRZECIA INWAZJA

Jakkolwiek operacje na kontynencie często przesłaniają laikowi obraz tego co się dzieje na morzu, to jednak wpływ polityczny i strategiczny morza na wydarzenia lądowe pozostaje nadal głównym czynnikiem zwycięstwa. Gdyby nie panowanie na morzu, Niemcy mogliby skoncentrować przeciwko Sprzymierzonym potężne siły na głównym kierunku natarcia. W istocie, niepewni miejsca inwazji, rozproszyć je musieli wzdłuż długich linii brzegowych Europy. To też nigdzie nie byli dostatecznie silni. Dlatego druga inwazja w południowej Francji poszła naprzód z błyskawiczną szybkością i kosztem minimalnych strat. Obecnie zaś ma miejsce trzecia — na wodach greckich, acz w mniejszej skali, jednak niemniej ważna strategicznie i politycznie.

Jeśli dodać do tego "małe inwazje" w ujściu Skaldy /Kanadyjczycy/ oraz w Zatoce Ryskiej /Rosjanie/, to raz jeszcze dowiedziony zostaje przemożny wpływ okrętów na wszystkie operacje lądowe. Tak n.p. zajęcie Korfu, wyspy, którą Napoleon uważał za klucz do Adriatyku i Dalmacji, zmieniło zupełnie sytuację na zachodnim wybrzeżu półwyspu Bałkańskiego. Zajęcie niektórych wysp Dodekanezu i Archipelagu Greckiego przesądziło w ten sam sposób o wybrzeżu wschodnim. A zajęcie przez Rosjan wysp Dago, Ezel i Moon w Zatoce Ryskiej przesądziło nietylko o losach Rygi, ale też dało w ręce wojsk sowieckich możliwość opanowania reszty terytorium państw bałtyckich.

Że nie skończyły się te bałtyckie operacje zupełną klęską Niemców i odcięciem ich od metropolii, zawdzięczają oni znów morzu i marynarce wojennej. — I tak po obu stronach frontu i w najróżnorodniejszych okolicznościach, Marynarka dowodzi, że nikt bez niej obejść się nie może.

WOJNA PODWODNA

Sfery oficjalne W. Brytanii i Ameryki przestrzegają przed nowym nawrotem wojny podwodnej. Niemcy uruchomili nowe okręty podwodne, wyposażone w szereg nowych środków taktycznych, a między innymi w możliwość ładowania akumulatorów i wentylowania okrętu w czasie płytkiego zanurzenia. Dotychczas okręty podwodne musiały czynić to na powierzchni, co oczywiście ułatwiało ich wykrywanie.

Mimo to straty Sprzymierzonych we wrześniu utrzymały się na poziomie majowym /najniższym od początku wojny/, a ilość zniszczonych okrętów podwodnych ponownie wzrosła. Dodać możemy, że O.R.P. "Garland" wykrył i zatopił jednego z tych korsarzy na Morzu Egejskim.

O.R.P. "CONRAD"

W dniu 4 października podniesiono polską banderę wojenną na nowym krążowniku — O.R.P. "Conrad" — tak nazwanym gwoli uczczenia pamięci polskiego pisarza, który jako brytyjski marynarz stanowił jedno z ogniw kulturalnych i morskich między obydwoma krajami.

Jego pełne nazwisko brzmiało: Józef Konrad Korzeniowski: należał on do rzędu najpoczytniejszych pisarzy współczesnych. Pisał po angielsku, przeważnie powieści na tematy morskie. Książki swoje podpisywał: Joseph Conrad.

O.R.P. "Conrad" jest dawnym brytyjskim krążownikiem lekkim "Danae". Wypiera około 5000 ton i posiada uzbrojenie główne złożone z dział 150 m/m.

Na uroczystości podniesienia bandery obecni byli przedstawiciele marynarek brytyjskiej i polskiej. Nastrój panował bardzo serdeczny i koleżeński.

JULIAN GINSBERT

Z tygodnia na tydzień

9 *p a ź d z i e r n i k a : Premier Churchill, min. Eden i marsz. Sir Alan Brooke przybyli do Moskwy dla narad z marsz. Stalinem.*

—Ogłoszono szczegóły działań Armii Krajowej na obszarze krakowsko-śląskim pod koniec września b.r.

—Ogłoszono oficjalny komunikat o wynikach konferencji czterech mocarstw w Dumbarton Oaks na temat organizacji bezpieczeństwa świata.

10 *p a ź d z i e r n i k a : Ogłoszono, że wojska brytyjskie zajęły Korynt w dniu* 8 *b.m.*

—Wojska sowieckie zajęły Połągę, odcinając wojska niemieckie na Łotwie i w części Litwy.

11 *p a ź d z i e r n i k a : Ogłoszono, że wojską sowieckie zajęły w Transylwanii Cluj i na Węgrzech Szeged oraz, że posunęły się ku Prusom Wschodnim w rejonie m. Szaki i zajęły Taurogi na Litwie. Walki toczą się w okolicach m. Różan nad Narwią.*

—Prezydent Roosevelt przyjął przedstawicieli Polonii Amerykańskiej, wobec których złożył oświadczenie na temat Polski.

12 *p a ź d z i e r n i k a : Premier Mikołajczyk, prezes Rady Narodowej Grabski i min. Romer przybyli do Moskwy, celem wzięcia udziału w rozmowach Churchill-Stalin.*

—Walki toczą się na ulicach Akwizgranu.

—Prezydent R.P. dekorował sześciu oficerów brytyjskiej Marynarki Wojennej orderem Polonia Restituta.

13 *p a ź d z i e r n i k a : Wojska greckie, brytyjskie i — jak podała prasą — polskie zajęły Ateny.*

—Wojska sowieckie zajęły Rygę.

—Niemcy ogłosili, że artyleria sowiecka ostrzeliwuje pozycje niemieckie w Warszawie i że piechota sowiecka rozpoczęła natarcie poprzez Wisłę.

—Premier Mikołajczyk odbył w Moskwie rozmowy z premierem Churchillem i marsz. Stalinem.

14 *p a ź d z i e r n i k a : Za dnia lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Duisburg. Zrzucono ponad* 4.500 *ton bomb. Lotnictwo amerykańskie bombardowało również silnie Kolonię.*

—Premier Churchill odbył w Moskwie rozmowy z premierem Mikołajczykiem.

15 *p a ź d z i e r n i k a : W nocy z* 14/15 *lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Duisburg i Brunszwik oraz Berlin i Hamburg.*

—Ogłoszono, że wojska sowieckie i marsz. Tito walczą na ulicach Belgradu.

—Za dnia lotnictwo brytyjskie i amerykańskie bombardowało b. silnie Kolonię i Duisburg oraz atakowało tamę na rzece Sorpe w Niemczech.

—Premier Churchill przeprowadzał rozmowy z premierem Mikołajczykiem i min. Romerem.

—Regent Węgier Horthy ogłosił, że zwrócił się o zawieszenie broni. Zamieszki wewnętrzne na Węgrzech.

O kampanii wrześniowej

W październiku minęła rocznica końca kampanii wrześniowej —dlatego w październiku, że 6 go października 1939 oddziały regularnej armii polskiej pod dowództwem ś.p. gen Fr. Kleeberga stoczyły pod Kockiem ostatnią większą bitwę i przerwały ją jedynie z powodu zupełnego braku amunicji. Miejsce oddziałów regularnych zajęły po pewnym czasie tworzone w podziemiach oddziały Armii Krajowej, które podjęły walkę, prowadzoną w warunkach o wiele trudniejszych. Jej momentem szczytowym było powstanie w Warszawie, trwające dwa pełne miesiące.

W ten sposób, w naszej wojnie z Niemcami kampania wrześniowa stała się jedynie większym epizodem — epizodem tragicznym, który wywołuje przy każdej okazji liczne i różne myśli.

W imię bezstronności należy stwierdzić, że pierwsze reakcje zarówno polskie jak i obserwatorów obcych były przede wszystkim uczuciowe, krótkowzroczne i przeważnie wybitnie niesprawiedliwe. Nawet krytyka fachowa nie wykazywała większego zrozumienia potęgi niemieckiego *Blitzkriegu*, będącego funkcją czołgu i samolotu, jak i tego, że słabo uzbrojona armia polska nie mogła stawić czoła niemieckiej przewadze materialnej i liczebnej.

W krytyce tej nie chciano brać pod uwagę, że armia polska walczyła samotnie z ośmiokrotną a pod koniec z kilkudziesięciokrotną przewagą lotnictwa, z dziesięciokrotną a później ze stokrotną przewagą broni pancernej, z trzykrotną a później bodaj dziesięciokrotną przewagą artylerii i od 17-go września z pięciokrotną przewagą ogólną, zadając wrogowi ciężkie straty, większe aniżeli poniósł on w 8 miesięcy później na froncie zachodnim.

Nie bardzo rozumiano, że sam los kampanii został przesądzony na stołach konferencji w Monachium, która zapewniła Niemcom strategiczne okrążenie Polski a następnie w Moskwie, gdzie strategia niemiecka pozbyła się koszmaru wojny na dwóch frontach, a przede wszystkim wojny z Rosją.

Również nie zdawano sobie sprawy, że na skutek uprawiania przez Zachód wobec Niemiec daleko idącej polityki "uspakajania" i nacisków na Polskę, aby odraczała mobilizację, większość wielkich jednostek polskich weszła do akcji, mając zaledwie 50-60% etatowego stanu.

Dopiero po kampanii we Francji otworzyły się nieco oczy. Tam mimo, że 135 dywizji niemieckich miało przed sobą około 130 dywizji anglo-francuskich, bez porównania lepiej uzbrojonych aniżeli dywizje polskie oraz mityczną "Linię Maginota" — kampania trwała tak samo krótko jak w Polsce. Sukces niemieckiego *Blitzkriegu* był ponownie przytłaczający mimo, że nasi sojusznicy mieli osiem miesięcy cennego czasu na przygotowanie się i mimo, że wejście Włoch do wojny nie miało tak rozstrzygającego znaczenia jak wkroczenie wojsk sowieckich do Polski.

Pierwsze uderzenie niemieckie, zakończone Dunkierką, likwiduje w ciągu 5 dni całą armię holenderską i zmusza po 18 dniach całą armię belgijską do złożenia broni oraz niweczy zupełnie 29 dywizji francuskich.

Druga faza kampanii we Francji była już raczej dobiciem powalonego przeciwnika. W Polsce, jak stwierdza niemiecka literatura wojskowa, opór zdziesiątkowanych oddziałów polskich w drugiej fazie był twardszy, bardziej czynny i zręczniejszy, niż w pierwszej fazie. Na ten właśnie okres przypadają najefektowniejsze sukcesy oręża polskiego, jak rozbicie niemieckiej grupy pancernej pod Brzuchowicami przez resztki armii generała Sosnkowskiego, sukces brygady motorowej Maczka pod Lwowem, odrzucenie niemieckich jednostek pancernych pod Saninem i Ściborem przez 33 i 41 dywizje piechoty, przerwanie się grupy kawalerii Andersa przez front i gąszcz odwodowych jednostek niemieckich, bohaterska obrona Warszawy i Helu, a przede wszystkim ostatnie walki prowadzone w warunkach zupełnie beznadziejnych, jak walki ś.p. gen. Kleeberga, będące zakończeniem kampanii.

I dopiero po kampanii we Francji, gdy po raz drugi mocno wykruszone resztki polskich sił zbrojnych i niedobitki emigracji znalazły schronienie na gościnnej ziemi brytyjskiej—stanowisko w stosunku do kampanii wrześniowej zaczęło powoli ulegać zmianie. Zaczęto rozumieć jej znaczenie jako wkład wojenny Polski do drugiej wojny światowej. Zaczęto podkreślać, że mimo iż armia polska musiała ulec kolosalnej przewadze liczebnej i materialnej wroga, zadała mu ona poważne straty, które zmusiły go do leczenia ran przez szereg miesięcy. Zaczęto też w pełni rozumieć i doceniać znaczenie przewagi materialnej i liczebnej dla uzyskania zwycięstwa.

Znaczenie to wykazała później kampania w Rosji, w czasie której zgasło wiele gwiazd na firmamencie marszałków i generałów niemieckich oraz wreszcie *super Blitzkrieg* Sprzymierzonych w Normandii. Przecież w Normandii armia niemiecka wyposażona w sprzęt najbardziej nowoczesny i zaprawiona w ciągu tylu lat w ciężkich walkach, doznała klęski z rąk Sprzymierzonych — a w tym i polskich—na skutek tego, że Sprzymierzeni mają przewagę materialną. Napięcie dramatyczne tej klęski przewyższa klęskę kampanii wrześniowej.

W świetle tych faktów i rozważań kampania wrześniowa—mimo błędów kierownictwa wojskowego a jeszcze liczniejszych błędów kierownictwa politycznego, wykazała nieśmiertelne zalety polskiego szeregowca oraz /ze względów, demagogicznych tak często pomijanego . . ./ oficera — braci z krwi i kości tych samych szeregowych i oficerów, którzy, czy to z naszywkami "Poland" na rękawach, czy wreszcie w marynarce cywilnej wśród dymiących zgliszcz Warszawy—ani przez chwilę nie wypuścili broni ze swoich już mocno utrudzonych rąk.

Przeżywana przez nas ostatnia rocznica walk wrześniowych budzi w nas prócz wspomnień przeszłości również i wiele innych myśli. Jakże inaczej wyobrażali sobie tę rocznicę ci, którzy od samego początku wojny, mimo, że kolejne klęski w ciągu tylu lat wojny uderzały w nich, jak obuchem—nie stracili jednak wiary w ostateczne zwycięstwo Sprawy. Obecnie, gdy dla wszystkich narodów Europy świta już coraz wyraźniej jutrzenka pełnego zwycięstwa i wyzwolenia, widnokręg nasz zaciągnięty jest przez gęste chmury a nade wszystko przez bijące w niebo dymy płonącej Warszawy . . . Rozwiały się marzenia wielu—marzenia, które stały się rzeczywistością dla naszych francuskich i belgijskich sprzymierzeńców—o triumfalnym powrocie do ukwieconej i oszalałej z radości Warszawy i innych miast rodzinnych. Na razie możemy się pocieszać tym, że walki w Warszawie, które wywołały podziw całego świata dla jej bohaterskich obrońców, związały siły co najmniej 5 dywizji niemieckich, stając się w ten sposób jeszcze jednym wkładem polskim do wojny.

Miejmy nadzieję, że wkład ten —podobnie jak i wkład armii polskiej w czasie kampanii wrześniowej, jak walki polskich lotników i marynarzy, jak wyczyny polskie pod Tobrukiem i Gazalą i wspaniałe zwycięstwa we Włoszech oraz ostatnio ujawniona działalność Polaków w ramach francuskiego ruchu podziemnego —mieć będą swój ważki wpływ oraz swoją płomienną wymowę przy układaniu losów powojennej Europy i powojennej Polski.

EUGENIUSZ HINTERHOFF

★ ★ ★

Na ziemi mogił wygasły ognie,
Słychać w ciemnościach syk węży.
Cięży nam Panie ręka Twa, cięży,
Lecz nas nie złamie, nie pognie.

Gdy przyjdzie pora,
Jutro, jak wczora
Proch na proch weźmiem, glinę na ołów,
Pożary wstaną z popiołów.

KORNEL UJEJSKI

W hotelu Danube

Kiedy w ostatniei dekadzie września roku 1939 generał Sikorski przybył do Paryża, zatrzymał się, jak miał zwyczaj, w małym hoteliku na lewym brzegu Sekwany, blisko od Faubourg St. Germain. Hotelik był to tego typu, jaki odpowiada przybyłym z prowincji zacnym ludziom: skromny, tani i zaciszny. Nazywał się *Hôtel du Danube* — Hotel Dunajski. Właściciel znał Generała od lat i na pewno miałby zaufanie, gdyby okoliczności zmusiły do korzystania z kredytu. Z tym trzeba się było poważnie liczyć, gdyż żadnych zasobów pieniężnych Generał nie posiadał. Kilka cudzoziemskich banknotów w paszporcie /przedawnionym/; na granicy rumuńskiej tylko drobna pożyczka w lejach pozwoliła Generałowi zapłacić za jego i nasze śniadanie. Wygodził mu tą pożyczką kochany gen. Faury.

W Paryżu nie było jeszcze ludzi, którzy potem stanowili rozmaite zespoły Rządu Generała Sikorskiego; wyjątek stanowił prof. Stanisław Stroński, którego zastaliśmy już na miejscu, łącznie z płk. Franciszkiem Arciszewskim. Reszta nadciągała stopniowo, po różnych przygodach w drodze. Prawie codziennie nadjeżdżał ktoś nowy, przywożąc zazwyczaj nowiny o ludziach i zdarzeniach w Rumunii lub na Węgrzech.

O tym, co się działo w kraju, wiedzieliśmy z radia. W maleńkim saloniku hotelowym gromadzili się wieczorem wszyscy mieszkańcy *Danube'a* i zwykle jeszcze jacyś przygodni goście, by wysłuchać hiobowych wieści. Aż do końca miesiąca oblężenie Warszawy stanowiło punkt szczytowy zainteresowania. Straszny przegląd wydarzeń odbijał się ponurym cieniem na twarzach słuchających.

Bombardowanie Niemiec ulotkami stanowiło wówczas dla nas wszystkich taką samą zagadkę, jak dzisiejsze zawiłe objaśnienia niektórych organów prasy, czytywanej przez nas codziennie. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, my, ubodzy krewni Sprzymierzonych, z ich możliwości i z różnych niemożliwości., Tym bardziej wzrastało poczucie krzywdy i bezsiły.

Zwłaszcza, że przechodziliśmy wówczas epokę samobiczowania i nadkrytyki. Dopomagano nam do tego z boku. Co chwila padały zapytania, bolesne nawet wtedy, gdy były całkowicie życzliwe. Cóż można było pozytywnie odpowiedzieć na pytanie, czemu Polska broniła się tak krótko? czemu plan obrony rozciągnął tak szeroko wojsko na granicy zachodniej? czemu epizody obrony wyglądają na łataną robotę poszczególnych dowódców, nie zaś na akcję, kierowaną przez jedną wolę? — Tematu dywersji ze wschodu już wtedy unikano.

Do *Danube'a* przychodziła masa osób, urzędowo i prywatnie; ze swej strony Generał od pierwszego dnia rozpoczął wizyty i konferencje. Bardzo wiele dla przygotowania terenu uczynił wówczas prof. Stroński, dzięki swojej znajomości Francji i licznym tam przyjaciołom. Jeżeli z jednej strony spotykały nas dowody istotnej i niekłamanej życzliwości, to ze strony czynników oficjalnych widać było nieraz jak gdyby zakłopotanie. Wydawało się, że oficjalna Francja patrzy wstecz i że sięga nie do powstań polskich i Wielkiej Emigracji, ale . . . Do Kongresu Wiedeńskiego.

Dziś można zdać sobie sprawę, że jeśli przy tworzeniu wojska we Francji doznaliśmy życzliwości i poparcia, to nie od wszystkich. Ci, którzy od początku byli w stosunku do nas tylko poprawni, okazali się po upływie roku i nastaniu klęski francuskiej—kolaboracjonistami. Ci sami odegrali dwuznaczną rolę przy naszym odskoku na Wyspy Brytyjskie. Na szczęście, byli i inni, prawdziwie oddani wspólnej sprawie i pomni na wkład Polski w chwili pierwszego ataku Niemców na Europę.

Nazwiska w tej chwili nie są ważne; chcemy raczej skreślić ogólny obraz, niż formułować oskarżenia. Ogół francuski, tak pięknie nieszczęściem ojczyzny przywrócony do świadomości narodowej, wówczas drzemał spokojnie za linią Maginota, w przeświadczeniu o swej potędze i o tym, że ta wojna zakończy się bez prawdziwych bombardowań. Sprawdziło się to prawie co do Paryża, w porównaniu z tym, co przeszła i przechodzi Warszawa. Prasę mieliśmy w Paryżu i na prowincji niezłą, dużo lepszą, niż w tej chwili w krajach anglo-saskich.

Niemcy też przeważnie zrzucali na Paryż ulotki. Dowiedli jeszcze raz, jak słabe mają wyczucie innych narodów. Wszystko, co podbił ich oręż, zmarnowała ich buta i anty-talent propagandowy. Nie tylko w umęczonej Polsce i Serbii, nie tylko w zbrutalizowanej Rosji, ale nawet we Francji, gdzie przecież podobno chcieli być gentlemenami. Nie udało się. Nie potrafili.

Trzeba powiedzieć, że sytuacja odtworzonego we Francji Rządu Polskiego stanęła od razu mocno, dzięki osobie generała Sikorskiego, mającego w Paryżu wielką popularność i powagę. Nie małe znaczenie miał fakt, iż Rząd ten odżegnał się kategorycznie od polityki swych poprzedników. W szczególności minister Beck nie był Francji nigdy miły. Natomiast potężnie wsparł generała Sikorskiego Ignacy Paderewski. Objęcie przezeń przewodnictwa Rady Narodowej, która miała stać się sejmem emigracyjnym, wywarło jak najlepsze wrażenie.

Polonia paryska i północno-francuska ustosunkowała się do Rządu od razu pozytywnie. Od chwili wybuchu wojny zresztą zajęła stanowisko szczerze patriotyczne i niezmiernie czynne. Dowodem tego—rekrutacja ochotnicza do tworzonej we Francji jednostki wojskowej, która potem rozrosła się w całą armię. Zarówno emigracja inteligencka, jak robotnicza, nie szczędziła trudu, pieniędzy i ofiar osobistych. Przeprowadzony następnie pobór potwierdził to całkowicie. Wreszcie fakt, że po klęsce Francji w roku 1940 i po zwolnieniu do domu Polaków, we Francji stale zamieszkałych, tylu ich dobrowolnie przybyło do Wielkiej Brytanii, pozwala stwierdzić, iż emigracja polska we Francji podczas tej wojny dobrze zasłużyła się ojczyźnie. Dochodzące nas w tej chwili z kontynentu wiadomości o stanowisku Polaków francuskich podczas okupacji i obecnie jeszcze raz tę zasługę podkreślają.

Obóz w Coëtquidan dał życie "Polsce Walczącej", ale trwałą podstawę /materialną/ zyskało pismo przez pomoc rodaków z Francji. Pamiętamy o tym i fakt ten zaznaczano niejednokrotnie na tych łamach.

Trzeba pamiętać, że gdy punkt ciężkości władz państwowych polskich przenosił się do Francji, istniała tam, prócz ambasady i placówek konsularnych, przybyła z Polski misja wojskowa, wyznaczona dla uzgadniania działań wojennych oraz dla czuwania właśnie nad rekrutacją. Stworzenie Sztabu Naczelnego Wodza, a następnie Ministerstwa Spraw Wojskowych, misję tę wkrótce wchłonęło, ponieważ zadania organizacyjne zostały bardzo rozszerzone. Misja, pod kierownictwem gen. Burhard-Bukackiego, położyła podwalinę pod akcję wojskową Polaków we Francji, i dlatego należy jej się wspomnienie. Jednakże znacznie ułatwiła jej działanie energiczna praca różnych organizacyj emigranckich, pełnych inicjatywy i zapału.

Do *Hôtel Danube* zgłaszali się ciągle przedstawiciele emigracji. Generał bardzo sobie cenił ich współudział w pracy. i dlatego wprowadził dwóch działaczy emigranckich do Rady Narodowej, poza przyjętym „wachlarzem partyjnym". Nie wszyscy byli z tego zadowoleni. Generał uznał jednak, że gdy emigracja polska we Francji stanowi podstawę rekrutacyjną dla wojska, należy jej się reprezentacja w jedynym ciele zbiorowym, jakie posiadamy.

Rzecz ciekawa i charakterystyczna, że zagadnienie konstytucji, które tak interesuje dziś obcych, najmniej zajmowało umysły Polaków. Było jasne, że trzeba zapewnić ciągłość władzy państwowej; nikt z Sojuszników również tego nie poddawał w wątpliwość. Niewygodne było to tylko dla tych, którzy — jak Mussolini — twierdzili, że "Polska jest zlikwidowana".

Krótko mówiąc położenie ówczesne było takie: Polacy na zachodzie Europy stali w obozie sojuszniczym, jako pełnoprawni przedstawiciele swego narodu; Polacy w Kraju cierpieli za to, że są Polakami, przygotowywali się do akcji walki z najeźdźcą i wkrótce walkę tę podjęli. Skojarzyło się to w czasie z walką Polaków na zachodzie. Ani ideowo, ani formalnie żadnej linii podziału między Polakami nie było. Nikt jej nam nie wmawiał i nikt nas do niej nie namawiał. Cieszono się powszechnie, że jest jeden naród na kontynencie, który nie wydał quislingów.

Dziś położenie w gruncie rzeczy nie uległo zmianie. Zmianie uległy tylko okoliczności zewnętrzne, stwarzające dla nas nową, trudną i nieprzyjazną koniunkturę. Szczytowym jej punktem stała się bitwa o Warszawę, toczona przez nas samych i nie przegrana, skoro jej Niemcy nie wygrali. Bitwa krwawa, bolesna i pouczająca nie tylko dla nas.

Gdy zcześnie wszystko to, co jest kłamstwem, bluffem, oszczerczą kampanią, zełganą propagandą — okaże się że jedność narodowa Polaków nie uległa przekreśleniu, ani nawet nadwątleniu. Między Polakami mogą być tylko różnice taktyczne. Zaś sprawy zasadnicze, jak wolność, całość i niepodległość — święte hasła kościuszkowskie — nie przestały być świętością dla narodu. Niebawem odpadnie to, co jest obcym nalotem, chorobliwą wysypką na osłabionym wojną organizmie, i wówczas świat się przekona, że nie warto podpowiadać nam rzeczy, których nie uczynimy choćby dlatego, iż od czterech pokoleń nikt w Polsce nie uległ obcym, a niezgodnym z interesem narodowym namowom.

Aby o pełną niepodległość walczyć, przyjechał przed pięciu laty do Francji generał Sikorski. Tę zasadę rzucił głośno w oczy światu, gdy podejmował zadanie obrony praw Polski w skromnym *Hôtel du Danube*.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

POLSCY SPADOCHRONIARZE W HOLANDII*

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

ZŁOTY ZNAK SPADOCHRONOWY

Do trzech razy sztuka — pomyślałem sobie wsiadając w dniu 21 września trzeci już dzień z rzędu do tego samego samolotu. Jeżeli i tym razem odłożą start, to chyba dostaniemy kręćka, albo zaczniemy jeść szkło. Ale spokojnie! Nie trzeba płoszyć. Chociaż pogoda jest daleka od "murowanej", wszystko na razie idzie dobrze i kto wie, może naprawdę polecimy.

Moi towarzysze w samolocie podobnie jak i ja przyczaili się i patrzą nieruchomo spod nasuniętych na oczy hełmów, na których pęki kamuflażowych kokard i strzępków worka mają imitować zabarwienie holenderskiego krajobrazu. Holandia! Dlaczego właśnie Holandia?

Kiedy przez lata myśli się o czymś, jak w tym wypadku o bojowym skoku na spadochronie i kiedy ma to nareszcie nastąpić, przeżywane fakty zaczynają zatracać ostrość, przeistaczając się chwilami jakby w półsen — półmajaczenie. Po prostu nie chce się wierzyć, że to już ma nastąpić . . . A jednak to nie jest sen, ani film lub awanturnicza książka, tylko wnętrze naszej zwyczajnej "Dakoty" i perspektywa skoku — tym razem już nie ćwiczebnego. Za taki skok, żołnierz dostaje Złoty Znak Spadochronowy.

"Dakota" drgnęła i jak stateczny autobus powoli ruszyła w kierunku *runway'u*, gdzie już dziesiątki innych poustawiały się w grzeczne trójki.

Oto krótkie zdania pisane koślawym pismem — notatki, które prowadziłem podczas całego przelotu, od chwili startu w Anglii do "*action station*" koło Arnhem w Holandii.

—Wystartowaliśmy i jesteśmy już w powietrzu. Pod nami kratka pól angielskich i . . . wiatrak — symbol naszego celu. Przypinamy taśmy spadochronów. Moja klamra za gruba — nie chciała wleźć do karabinka. Lotnik Amerykanin pomógł mi się przypiąć. Mglisto trochę, ale słońce świeci i widoczność nienajgorsza. Boję się o moją maszynę do pisania "Hermes-Baby", aby się nie rozbiła przy lądowaniu. Jest w *kitbagu*, zapakowana w wióry i koce. Samolotem trochę rzuca. Widzę przez okienko "Dakotę" prawoskrzydłową naszej trójki. Posiada na kadłubie namalowanego psa, który wierzga. Moi towarzysze siedzą milcząc — większość patrzy przez okna.

Przelatujemy ponad naszą bazą . . . Na pewno tam w dole życzą nam szczęścia, chociaż w podobnych wypadkach powinno się życzyć złamania karku. Zmieniamy kurs o ostry kąt. Słońce z prawej, więc lecimy na wschód. Znów ustąpiły cumulusy, lekkie przymglenie.

Widać pod nami jakieś miasto. Kapralowi kawa wylała się z manierki i biedak ma mokro w spodniach. Nic nie może na to poradzić, bo jest opakowany kombinezonem i uprzężą spadochronu.

—Zdaje się, jesteśmy nad morzem. Świetnie widać sąsiadów. Podwieszone pod samolotami zasobniki i motocykle. Bliższe samoloty ostro i barwnie zarysowują się na mglisto-niebieskawym tle. Właściwie na dole nic nie widać. Śmieszne złudzenie: wydaje się, że samolotom lecącym nieco z tyłu śmigła kręcą się powoli jak skrzydła wiatraka. Kark mnie już boli od wykręcania głowy i patrzenia przez okno. Nic ciekawego: teraz w moim polu widzenia pustka, biało-złociste mleko i szerokie skrzydło naszego samolotu z białą gwiazdą inwazyjną. A teraz chmury wyglądają jak morze mgieł w Tatrach. W oddali nadęte jasnozłote cumulusy pływają jak góry lodowe w szaro-siwych mgłach. A nad tym seledynowe niebo. Robi się zimno — czuję to w rękach i nogach. Mój sąsiad z prawej zaczyna przeżuwać kanapki zjedzone na lotnisku, więc sięga na wszelki wypadek po specjalną torebkę. Widać stadka myśliwców, które dołączają do nas. Podobno mają być wśród nich Polacy. Mały kucharz siedzący przede mną zwraca mi na to uwagę. Jest trochę przejęty obecnością korespondenta wojennego w samolocie i pragnie, abym wszystko zanotował. Coraz to zimniej — musimy być dość wysoko. Teraz na seledynowym niebie widnieją przepiękne stratusy o żółtym odcieniu.

Humory w samolocie dobre. Ksiądz-kapelan M. żartuje z żołnierzami. Jeden z moich przyjaciół w Brygadzie porównał kiedyś "Dakotę" do żaby. I rzeczywiście kiedy stoi na ziemi jest z pyska do niej podobna. Ale w powietrzu wygląda dość przystojnie, chociaż nieco dziwacznie, jakby wybujały w kształtach myśliwiec. Pod nami gęsta wełna chmur bez "okien". Ciekawym, co pod nimi.

—Niebo upstrzone samolotami. Moja manierka też przecieka pod kombinezonem i też będę miał mokro. Szkoda, że w dole nic nie widać — słowem lecimy "w ciemno". Tutaj jak na obszernym placu — oto nieco w dole leci myśliwiec w odwrotnym kierunku i ma wygląd, jakby nie zwracał na nas uwagi. Drugi pilot wygląda do nas przez drzwi i ostrzega, aby zatkać uszy, kiedy będziemy schodzić w dół. Zapytuję pilota, czy jesteśmy jeszcze nad kanałem. Odpowiada, że nie wie, bo nic nie widać. Pod nami klucze dwumotorowych samolotów zdążają po robocie do baz w Anglii.

Pomyśleć tylko, że w czerwcu 1940 roku opuściliśmy Francję jako rozbitki. Teraz wracamy jako wielka armada wojsk powietrznych z powrotem na kontynent. Niebo jest teraz szafirowe, na nim rzędy stratusów, w dole szara otchłań chmur i mgieł. Ręce marzną. Odczuwam rzadsze powietrze i oddycham głębiej. Sąsiednia trójka samolotów zanadto się zbliżyła, więc trzeba było się odsunąć. W dole kłębią się szare, przykre chmury, a przed nami płynie obłok w kształcie złotego łabędzia. Podobno widać ląd.

Schodzimy ostro w dół, czuję ucisk w uszach. Natychmiast robi się cieplej. Weszliśmy w chmury i zmniejszamy szybkość. Widać ziemię! Nareszcie kontynent Europy. Co to za kraj? Jakiś dym w dole. Jeden z naszych samolotów zgubił motocykl. Oderwał się spod kadłuba i poszedł w dół. Na ziemi, na wstędze drogi widać samochody i można rozpoznać na nich duże białe gwiazdy. Domy, osady, jakaś fabryka — zupełny brak zniszczeń. Wydaje się, że lecimy bardzo wolno. Trudno oderwać wzrok od tej na dole ziemi — jest już wolna.

—Już za nami dwie godziny lotu. Jakiś kanał, a za nim następny. Widocznie zbliżamy się do linii frontu, bo radiotelegrafista każe nam nałożyć hełmy. W dole większe zniszczenia, księżycowe krajobrazy miejsc, gdzie wybuchały serie bomb lotniczych. Pola i lasy — domki. Jesteśmy, zdaje się, jeszcze nad swoimi. Czym powita nas ziemia holenderska? Piękne miasteczko i fabryka zrąbana bombami. Większa rzeka z dopływem i most. Jakiś samolot na spotkanie.

—Pilot tylko co kazał nam przypiąć *kit-bagi*. Przypiąłem *kit-bag*. Oby tylko moja maszyna nie rozleciała się w kawałki, bo nie miałbym na czym pisać reportaży.

—Na dole jeszcze spokojnie. Tfu! Trzeba odpukać. Droga, na niej samochody i czołgi. Żołnierze starają się dowcipkować na temat, że już nas nie odwołają. Ale to też warto odpukać.

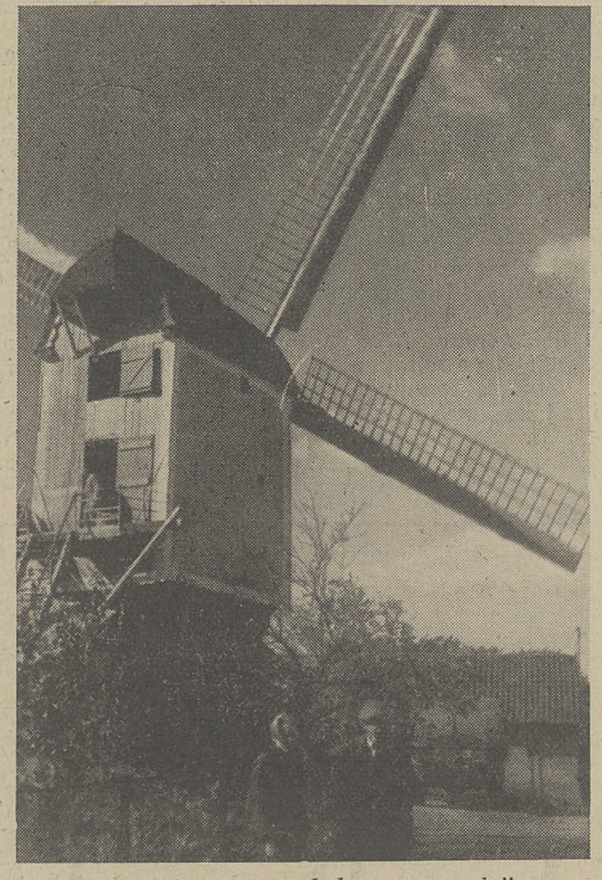
—Coś rzuca nami. Może strzelają. Ziemia poorana bombami.

—Fabryka — ale cała. Mokro — stawki. Lotnisko. Nie, to miejsce lądowania szybowców. Wygląda jak rojowisko owadów. Zaraz powinien być Waal.

—Most pontonowy na rzece. Droga — ruch samochodów i czołgów w naszym kierunku. Kanał i most — miasto. Most nieuszkodzony.

—Trochę rzuca. Wiatrak! Zgasiłem ostatniego papierosa. Schodzimy niżej. Las i nad nim "dziura" — więc motory wyją.

—Zdaje się to jest Waal, ta duża kręta rzeka. Przekraczamy ją. *Action station . . .*



. . . *"wiatrak — symbol naszego celu"*

* * *

Porwaliśmy się ze swoich miejsc, prawą ręką przytrzymując *kit-bagi*, a lewą przesuwając taśmy spadochronów. Stoimy jeden za drugim w rozechwianym rzędzie. Podsuwamy się bliżej ku drzwiom. Samolotem rzuca. Może to być spowodowane po prostu raptowną zmianą szybkości. Chwila największego napięcia. Strasznie długo trwa to *action station* . . . I już przede mną robi się luz, coraz wolniej, coraz to mniej ludzi. Drzwi wchłaniają jak próżnia. Potem tylko kłębowisko wiatrów . . .

Kiedy ogarnęła mnie cisza i spokój lotu na spadochronie, kiedy ujrzałem pod sobą sielankowe łąki i pulchne kłębki drzew i krzewów zapomniałem na chwilę, że to wojna, prawdziwa wojna, a nie ćwiczenie i cała moja uwaga skupiła się na *kit-bagu*. Pociągnąłem za taśmę i ostrożnie opuściłem worek na długość linki. Doskonale — maszyna prawdopodobnie będzie w porządku. Instynktownie spojrzałem w górę, na spadochron. Kołysał się nade mną majestatycznie, bez skrętów i poplątanych linek. Dobrze wyskoczyłem — sprawiło mi to przyjemność. I dopiero wtenczas przypomniałem sobie, że to przecież wojna. Równocześnie usłyszałem wystrzały i świst kul. Zrobiło mi się nieprzyjemnie i głupio. Wtenczas zapragnąłem czym prędzej znaleźć się na ziemi.

Leciałem równo w dół za *kitbagiem* i jego linką wycelowaną w sam środek czworokątnych zabudowań małej farmy. Nie pragnąc bynajmniej lądowania na dachu pociągnąłem za przednie szelki spadochronu i ślizgiem minąwszy budynek wylądowałem między nim a stogiem siana. Rozglądając się bacznie dokoła, błyskawicznie uwolniłem się z szelek spadochronu i wyjąłem swoje dwa chlebaki z *kit-bagu*. Obok mnie wylądował jakiś żołnierz. Nie zrozumiałem, co do mnie krzyknął. Między stogiem siana a domem otwierał się widok na łąkę, przez którą biegli nasi żołnierze, od czasu do czasu przypadając do ziemi. Niektórzy z nich strzelali w kierunku skąd dochodził do mnie przerywany głos broni maszynowej. Wyszedłem na tył zabudowań, aby zorientować się w terenie. W porządku — tam w oddali widać pasmo zalesionych wzgórz. Tam jest Arnhem i Dolny Ren. W zabudowaniach farmy było spokojnie i pusto, tylko jeden z naszych spadochroniarzy na moje pojawienie się przypadł do ziemi, gotowy do strzału. Poznawszy mnie machnął ręką i poszedł wzdłuż rowu.

Ta wojna nie wygląda wcale groźnie — pomyślałem z humorem wchodząc między jabłonie, uginające się pod ciężarem wspaniałych owoców.

Nagle, pod jedną z jabłoni ujrzałem spadochroniarza nie odpiętego od spadochronu, którego czasza okryła koronę drzewa. Żołnierz leżał z głową opartą o ramię — jakby spał. Podskoczyłem do niego i potrząsnąłem za ramię. Był już sztywny. Na szyi miał głęboką otwartą ranę. Młody, jasnowłosy chłopak. Nie znałem go. Próbowałem znaleźć przy nim jakieś dokumenty. Ale musiałbym go rozpinać: szelki spadochronu, wierzchni kombinezon, oporządzenie, "*smoke*" /dolny kombinezon/ — aby wreszcie dobrać się do *battledressu*. Nie ma na to czasu na zrzutowisku bojowym po wylądowaniu. Wszyscy podążali szybko na północ. Opustoszało wokół mnie. Byłem w pierwszej chwili wstrząśnięty niespodziewanym widokiem zwłok naszego żołnierza. Rana wskazywała, że w momencie lądowania dobiegł do niego Niemiec i rozpłatał mu szyję bagnetem lub nożem. A mnie się w pierwszej chwili zdawało, że to jest ciekawa, urocza wojenka, a nie wojna, ze swoimi ponurymi akcesoriami. Jako korespondent wojenny, zgodnie z prawem międzynarodowym nie miałem przy sobie żadnej broni. Zrobiło mi się nieswojo. I nagle, jakby jakiś tajemniczy mechanik przełożył we mnie przekładnie, nastawiając na frontowy sposób myślenia i odczuwania. Martwy żołnierz leżący koło moich butów przeistoczył się w normalną, zwyczajną rzecz. Po diabła tutaj się płaczę? Szybkim krokiem podążyłem w ślad za wszystkimi.

W pobliskim zagajniku i na łąkach wzdłuż rowów zbierały się nasze oddziały. Tam też zobaczyłem pierwszych jeńców — trzech rozbrojonych dryblasów z przerażeniem w oczach. Stali z podniesionymi rękami spoglądając niespokojnie na wycelowane "Steny". Wartownicy kazali im położyć się na ziemię. Momentalnie runęli na twarz. To jedni z tych, co strzelali do nas jak do kaczek, kiedy opadaliśmy na spadochronach.

Każdego kolegę dołączającego do swego oddziału reszta wita szerokim uśmiechem. Zaczynają krążyć wesołe żarty. Oficerowie nawołują do uwagi i ostrożności. Jesteśmy na nierozpoznanym, nieprzyjacielskim terenie. Wokół nas Niemcy. Teren jest płaski, pocięty wąskimi rowami. Na łąkach spokojnie pasie się bydło. Ale między kwadratami łąk liczne zarośla i sady, znad których wyglądają dachy domów, dalej wieża kościoła, kominy jakiejś fabryki. Nie wiadomo kto tam jest. Zapada pierwszy zmierzch. Cisza. Wśród niej z rzadka pojedynczy, jakby przypadkowy wystrzał.

Na wąskiej drodze omijamy szczątki trzech niemieckich aut wojskowych. Dwa spalone doszczętnie, trzeci — autobus — posiekany kulami. Pohulały tutaj alianckie samoloty. Przypomina się nam w ten holenderski wrześniowy wieczór nasz, Polski Wrzesień. Ale wtenczas było inaczej.

Przyglądam się bacznie mijanym żołnierzom, z radością rejestrując twarze moich znajomych i przyjaciół. Spotykam małego kucharza z mego samolotu. Powiada, że fajno jest. Dowcipniś ze Starachowic ma do nas pretensje, że nie słyszeliśmy, jak krzyknął wyskakując z samolotu: Cześć! Cześć! Stasiowi zapodział się gdzieś jego wspólnik od *kit-bagu*. Klnie na niego i jest czerwony jak burak od dźwigania podwójnego bagażu. Jerzy lądował na głowę i jest jeszcze trochę oszołomiony. Pyta się kilka razy o tę samą rzecz. Znamy te dolegliwości spadochronowe — nic groźnego. Raczej komiczne. Dowódcę — generała spotkałem jeszcze przed zagajnikiem. Był w dobrym humorze i wydawał dyspozycje w sprawie przesłuchania jeńców. Rannych przy lądowaniu oczywiście zabrano ze sobą. Podporucznik ze złamaną nogą siedzi na rowerze, który prowadzą podtrzymując z obu stron dwaj sanitariusze. A ten uśmiecha się i dowcipkuje, chociaż ma zupełne prawo pojękiwać od czasu do czasu.

I tak wchodzimy w przysiółek. Ludność zebrana w komplecie wita nas z entuzjazmem, wykrzykując coś w niezrozumiałym dla nas języku, ściskając nam ręce i obdarowując owocami. Na piersiach każdego tubylca widnieje pomarańczowy kwiat — znak wolnej *Oranje*. Na nogach mają drewniane saboty. Ale ten obcy dla nas rodzaj obuwia, jak i niezrozumiały język znikają na tle tej kontynentalnej wsi. Droga pokryta gęstym błotem, malowniczo włożona w bujne krzewy i rosochate wierzby, domki stłoczone w nieładzie, kwiaty przed oknami, zapach krów i mleka. To wszystko takie swojskie, takie inne, niż jednostajny standart i asfalty wysp Wielkiej Brytanii. Jesteśmy bliżej — ale jeszcze tak strasznie daleko.

Zapadł zmierzch. Wkraczamy w naszą pierwszą prawdziwą noc spadochronową.

"JEŻ" BRYGADY SPADOCHRONOWEJ

W drugim dniu nieudanego startu na lotnisku w Anglii konkretnym zadaniem, jakie otrzymała Brygada, była przeprawa przez rzekę w miejscu, gdzie na mapie był zaznaczony jakiś prom. Żołnierz nie wiedział co ma być później i nie bardzo rozumiał, poco ma lądować na południowym brzegu, aby przeprawić się na północny. Domyślaliśmy się, że coś tam się nie udało Brytyjczykom. Nie wiedzieliśmy jednak, że jest aż tak źle. Jeszcze na lotnisku w przeddzień startu kiwaliśmy głowami nad tym "promem", którym cała Brygada miała przeprawić się na drugi brzeg.

Mapa jest kolorowa i przejrzysta i wszystko na niej przedstawia się w jaśniejszych kolorach. W terenie była długa ciemna wieś i droga, która niepotrzebnie wylazła na wysoki wał. Miał on także tę dobrą stronę, że siedząc za nim można było platonicznie podziwiać strugi świetlnych pocisków, którymi powitali nas Niemcy broniący przeprawy. Następnym przedstawieniem, jakie urządzili dla nas, był nękający ogień z moździerzy. Kiedy nasze patrole stwierdziły, że nie ma żadnych środków przeprawowych, a nawet naszych sił na przeciwległym brzegu, a ogień nieprzyjacielski coraz to uporczywiej starał się nas przekonać, abyśmy nie wierzyli w żadne cuda — nic nam tej nocy nie pozostało, jak poszukać sobie dogodnego miejsca i okopać się, tworząc silnego "jeża" obronnego do czasu, póki się nie da coś lepszego wymyślić.

W podobnych momentach, kiedy rzeczywistość szczerzy zęby w złośliwym uśmiechu do twórców planu, dowódca, któremu wykonanie tego planu powierzono, przeżywa trudne chwile powzięcia decyzji. Ogół żołnierzy natomiast przyjmuje to z mądrą beztroską, bo martwienie się nic dobrego nie przyniesie. A było czym się martwić. Pomijając już to, że najeżona ogniem nieprzyjacielskim rzeka nie dopuszczała nas do głównych sił własnych i naszej broni oraz sprzętu ciężkiego, który został tam parę dni wcześniej dostarczony rzutem szybowcowym — po wylądowaniu Brygady okazało się, że brakuje jednego całego batalionu i żołnierzy z paru jeszcze samolotów. Wszystko to razem nadzwyczaj osłabiło Brygadę. Dopiero kilka dni później wyjaśniło się, że zaginiony batalion został zawrócony z lotu — z powodu złych warunków atmosferycznych — wylądował z powrotem w Anglii, aby znów udać się tą samą drogą i dołączyć do nas w przeddzień zakończenia naszej akcji. Jeden z zaginionych samolotów został ostrzelany i przymusowo wyrzucił spadochroniarzy. Ale ci także do nas później zdołali dołączyć.

Zanim jednak to wszystko się stało, okopaliśmy się w miejscowości Driel, oddalonej o kilometr od rzeki. Kiedyśmy się tam usadowili, było wokół cicho i spokojnie — jak na manewrach. Dowództwo, kwatermistrzostwo, sanitariat, rozmieściły się w wygodnych domkach, oddziały otoczyły miejscowość pierścieniem obronnych stanowisk. Jedliśmy jabłka i gruszki, wypoczywając po ostatnich wrażeniach i niewygodach. Sielanka jeszcze trwała. Patrole wyszły buńczucznie szukać przygody. Mieliśmy już pewną ilość jeńców, wśród nich kilku Polaków, którzy zgłosili się z bronią w ręku — oraz zdobyczną broń, pożyteczną na naszych stanowiskach, jak l.k.m. *Maxim* i parę *Spandau'ów*. Na ukoronowanie wszystkiego przyszła wiadomość o nawiązaniu łączności z brytyjskim patrolem rozpoznawczym samochodów pancernych, który zapędził się do nas. Z naszymi za rzeką od rana nawiązano łączność radiową, a jeszcze w nocy oficer łącznikowy Brygady kapitan Z. przybył wpław przez Ren i zameldował się u naszego generała z ponurymi wiadomościami z tamtej strony.

Na stanowiskach naszych oddziałów nic ciekawego się nie działo. Żołnierze pogłębiali swoje dołki niezbyt wierząc w ich przydatność. Rozlokowałem się więc na skrzynkach i zacząłem niefrasobliwie pisać pierwszą depeszę dla P.A.T-a. Jedynym moim zmartwieniem było to, że nie wyobrażałem sobie jeszcze, jaką drogą ta depesza dotrze do Londynu.

I wtenczas się zaczęło. Najpierw jeden strzał, potem kilka, krótkie serie z *Brena*, długie serie i nagle bliski gwizd rykoszetu przeciął resztki iluzji, że na tym brzegu Renu jedynie my stanowimy stronę agresywną. Rozpoczęła się potężna strzelanina ze wszystkich stron. Nasz "jeż" wystawił swoje kolce. Meldunki powiadają, że oprócz nacierającej piechoty niemieckiej pojawiły się także samochody pancerne. Lecz my także nie jesteśmy sami, bo brytyjski pluton rozpoznawczy wjeżdża do naszej wsi, obstawiając wyloty dróg. Działka samochodów pancernych nie są do pogardzenia w naszej sytuacji, więc czujemy się bardzo mocnymi. Niemcy, poniósłszy pierwsze straty, zmieniają taktykę. Próbują ugryźć nas z różnych stron, wysuwają *sniperów* i z daleka prują długimi seriami z broni maszynowej. Wszyscy wewnątrz wsi są w ostrym pogotowiu. Przy drzwiach domów — każdy gotowy do strzału.

W tych warunkach nie klei się moja depesza. Pakuję maszynę do plecaka i przemykam się bliżej stanowisk, położonych na skraju wsi. Tuż koło stodoły rżnie nasz *Bren* poprzez równię rzadkiego sadu, w zarośla, skąd strzelają dobrze ukryci Niemcy. Na tym odcinku okopała się nasza kompania saperów. Dobre, równe wojsko . . . Mają już paru rannych i jednego zabitego, jeszcze leży na stanowisku. Podporucznik S. bez bluzy, z pistoletem w ręku na skraju pierwszych stanowisk, przeprowadza właśnie wypad ku zaroślom na przedpolu, co do których są mocne podejrzenia. Paru żołnierzy z *Brenem* wysuwa się ku przodowi, aby ubezpieczyć oficera, który idzie, wystawiony na ogień nieprzyjaciela. Wstrzymuję oddech. Wydaje mi się, że lada moment zostanie trafiony. Raptem jakieś krzyki. Oficer biegnie do tyłu. Ktoś woła sanitariusza. To jeden z ubezpieczenia został ciężko ranny w okolicę kręgosłupa. Za chwilę przyciągają go do mnie. Pomagam kłaść rannego na drabinę, która zastępuje nosze. Leży na brzuchu twarzą w dół i gryzie rękaw, aby nie wyć z bólu. Podporucznik jest też przy nas, cały przejęty losem swego żołnierza, chociaż przed chwilą sam defilował przed kulami.

—Nieście go ostrożnie — woła do sanitariuszy, a potem do mnie bezradnie: To jest W. Ubezpieczał mnie i trafili go dranie. Takiego żołnierza! . . .

Co można na to odpowiedzieć?

—Masz, zapal! — wyciągnąłem papierośnicę.

Oficer wziął papierosa i ręka mu drżała. Potem znów spokojnie poszedł na stanowiska, jakby kule mogły grozić tylko jego żołnierzom.

Na innym odcinku ogólna radość — Niemcy dali się nabrać. Żołnierze serią ze zdobycznego *Spandau'a*, wypuszczoną "Panu Bogu w okno", wywabili z zarośli kilku Niemców, którzy poznali głos niemieckiej broni i sądzili, że to ich własne siły wysunęły się naprzód. Kilka następnych, już celnych serii, wyjaśniło im sytuację. Dla niektórych na zawsze. Trudno nam jednak nie przyznać, że mamy do czynienia z godnym przeciwnikiem, o czym świadczy chociażby to, że Niemcy, wycofując się, tylko w ostateczności pozostawiają zabitych.

Gorzej jest natomiast na wschodnim krańcu wsi. Niemcy zniszczyli nam moździerz, uderzają zdecydowanie i umiejętnie, przy czym podpalili wielką stertę siana i pod osłoną dymu podeszli pod same stanowiska. Generał wybiega z dowództwa, siada na zarekwirowany damski rower, rzuca przez ramię krótki rozkaz do samochodu pancernego: "*Follow me!*" /za mną/ i jedzie przed nim na zagrożony odcinek. Sytuację naprawiono, ale smutny meldunek donosi o śmierci dwu doskonałych oficerów: porucznika Ślesickiego i podporucznika Ryszarda Tice'a, Amerykanina, ochotnika do polskich wojsk spadochronowych. Tice, dziwny chłopak, typowy amerykański młodzieniec, idący przez życie z sercem wypełnionym hałaśliwą wesołością, chociaż nie miał w sobie ani kropli krwi polskiej, tak hojnie ją przelał w polskiej potrzebie.

Generał Sosabowski chodzi tam i z powrotem po swoim pokoiku w dowództwie i mówi mi o tym, na konferencji prasowej, o której nie zapomina nawet w tak gorącym czasie. Generał jest bez hełmu, więc i ja swój zdejmuję, chociaż od gęsto błąkających się kul dzieli nas tylko szyba dużego okna. Szyba drży od wybuchów moździerzy.

—Przeżywamy trudne chwile — mówi generał po głębokim namyśle. — Po drugiej stronie rzeki jest bardzo źle. Niemcy otoczyli ze wszystkich stron *Airborne Division* i niszczą ją ogniem, na który nie ma rady. Musimy im iść z pomocą, ale nieprzyjaciel opanował przeprawy i zniszczył środki przeprawowe. Będziemy się jednak starali wszelkimi siłami dostać się na drugi brzeg. Tymczasem bijemy się po tej stronie zużywając tak cenną dla wojsk spadochronowych amunicję i ponosząc straty.

Konferencję przerywa oficer z meldunkiem, że nasza obserwacja wykryła gniazdo niemieckich moździerzy. Nie mamy jednak środków, aby je wykurzyć. Radio przekazuje współrzędne za Ren. Może tamci wykorzystają.

Działa naszych pepanców są za Renem, dokąd z częścią obsług dostały się na szybowcach. Z braku lepszego zajęcia dowódca ich, kapitan W., zebrawszy bojową paczkę żołnierzy, poszedł na patrol nad rzekę. Teraz właśnie powraca, prowadząc z sobą jeńca — oficera niemieckiego z art. plot., oraz . . . sierżanta R.A.F. i dwu brytyjskich spadochroniarzy. Tych trzech znalazło się w tym rejonie drogą powiedzmy normalną: zostali zestrzeleni i ukrywali się wśród ludności holenderskiej. Cieszą się bardzo na widok oddziałów sprzymierzonych, jak i "*Player's-ów*", którymi ich częstuję.

Oficer wywiadowczy rozpatruje dokumenty zabrane od jeńców. Każdy z nich ma przy sobie jakieś fotografie — twarze bliskich osób, drogie pamiątki dla żołnierza na froncie. Ale nie łatwo jest pojąć mentalność właścicieli n.p. takich kolekcji: obrazek Matki Boskiej, fotografia ojca w mundurze niemieckiego podoficera z poprzedniej wojny, podobizna matki i sióstr, narzeczona ze słodką dedykacją na odwrocie i — seria amatorskich zdjęć najohydniejszej pornografii, jaką tylko można sobie wyobrazić. W takiej kolekcji zdjęć jak na ekranie odbija się obraz chorobliwej duszy niemieckiej, tego kłębowiska zwyrodniałych uczuć i namiętności: mistycyzmu, sentymentalizmu, pychy i chuci. Dodajmy jeszcze do tego bezrozumne okrucieństwo, a jasno pojmiemy, że największa przeszkoda na drodze Niemców do podboju świata wyrosła z ich własnej duszy.

Jesteśmy w Holandii, w kraju gdzie Niemcy zdobyli się na duży wysiłek, aby wspaniałomyślnością zdobyć dla siebie sympatię podbitego narodu, a jednak nawet tutaj jesteśmy świadkami takich przestępstw, jak pędzenie przed sobą cywilnej ludności, starców, kobiet i dzieci, w natarciu na nasze stanowiska.

Holendrzy odnoszą się do nas z pewną rezerwą. Niby chętnie spełniają nasze półprośby-półżądania, bez których trudno obejść się na wojnie, ale na ogół wolą trzymać się z daleka, czemu nie dziwimy się zbytnio, będąc wojskiem z dość dziwacznego zdarzenia.

W pierwszym dniu kule gdzieniegdzie przestrzeliły szyby. W drugim dniu w ślad za ciężkimi moździerzami zwąchała nas artyleria niemiecka zza rzeki i "*direct hit'em*" zlikwidowała nam pogotowie oddziału zaopatrywania, zabijając dwu i raniąc ciężko szereg żołnierzy. W następnych dniach dom po domu otrzymywał cięgi, szczególnie w rejonie głównego punktu opatrunkowego, który zamienił się w spory szpital i pod gradem pocisków trwał w bohaterskim niesieniu pomocy rannym póki armatnia salwa nie roztrzaskała budynku. Cała miejscowość tak się wyszczerbiła, aż zaczęła nas irytować wielka szyba wystawy sklepowej, która trwała jakimś cudem w stanie nietkniętym, połyskując ironicznie w stronę potrzaskanych okien pobliskiego Dowództwa Brygady. Wreszcie i ona wyleciała z wielkim brzękiem. A na zakończenie tej ponurej symfonii, artyleryjski pocisk rąbnął w Dowództwo, urwał róg budynku i "wyremontował" całe wnętrze.



"Mieliśmy już pewną ilość jeńców . . ."

Niemcy nie byli w stanie wysadzić nas z Drielu, bo to był klucz do brzegu rzeki, za którą krwawiła się w nierównym boju bratnia brytyjska dywizja, a z nią nasze własne oddziały. Wzgórza za Renem wisiały jak zmora nad naszą niziną. Stamtąd ział na nas ogień, tam podążały chichocząc pociski artylerii brytyjskiej, w tamtym kierunku noc w noc szły polskie, a potem i brytyjskie wyprawy przeprawowe, po których każdemu, kto je przeżył, pozostanie wspomnienie piekła. Wzgórza dymiły w dzień jak łańcuch wulkanów, a w nocy oblewały się krwią pożarów. Pod tymi wzgórzami rozgrywała się tragedia *Airborne Division* i rozgrywał się dramat polskiej Brygady Spadochronowej, jej nadludzkich wysiłków przyjścia tamtym z pomocą — prawdziwy teatr bohaterstwa i śmierci.

Nad tymi wzgórzami na oczach wojsk powietrznych po obu stronach rzeki rozgrywało się również heroiczne misterium lotnictwa sprzymierzonych, idącego z pomocą odciętym wojskom. Tam właśnie na widok hulających myśliwców niemieckich, atakujących tak nasze samoloty jak i nas na ziemi — powiadaliśmy z wisielczym humorem, że rozwiązaliśmy zagadkę, nad którą głowili się dziennikarze londyńscy: "Co się stało z *Luftwaffe*?".

Mieliśmy także chwile triumfu, kiedy nasze bombowce okładały bombami Arnhem lub kiedy zajadłe "Spitfire'y" i groźne żądłami rakietowych pocisków "Typhoony" znęcały się nad źródłami niemieckiego "*flaku*".

Ale najsrożej przeżywaliśmy wyprawy jakże skromnych, bezbronnych i po bohatersku stoickich samolotów transportowych, które spokojnie, jakby nimi kierowały roboty a nie ludzie, jeden po drugim zakreślały łuk na niebie poczerniałym od wybuchów artylerii plot., aby z małej wysokości, możliwie jak najcelniej zrzucić na spadochronach zaopatrzenie, tak wyczekiwane przez broniące się za rzeką oddziały. Były to nasze ukochane "Dakoty". Tysiące spadochroniarzy i *gliderowców* śledziło z zapartym oddechem każdą maszynę, tysiące pięści zaciskało się w bezsilnej wściekłości na widok płomieni wybuchających z trafionego samolotu, tysiące oczu błagało szalonych lotników: "Skacz, jeszcze możesz . . . jeszcze dobra wysokość . . . Dlaczego nie skaczesz? . . ." I tysiące okrzyków ogromnej ulgi witały każdy zakwitający spadochron. Tyle gorących serc, bijących dla każdego z nich niech będzie nagrodą dla tych wspaniałych lotników.

PRZEKLĘTA AMFIBIA

—"Użyto do tego t.zw. "*ducks*" — samochodów ziemnowodnych" — pisała o przeprawie Brygady Spadochronowej przez Ren gazeta, pozbawiona wiadomości od swoich korespondentów wojennych, którzy wtenczas byli odcięci od świata żelaznym pierścieniem rozrywających się wokół pocisków.

Owszem widziałem "*duck*" w przeprawie pod Arnhem, ale wywrócony w rowie. Siedziałem pod nim wraz z polskimi spadochroniarzami i brytyjską obsługą tego amfibijnego potworka, chowając się przed odłamkami moździerzy. Drugi "*duck*" ugrzązł w nadbrzeżnym mokradle. Ale więcej ich nie było i żaden z nich nie przepłynął Dolnego Renu w tym czasie.

Przeprawy przez rzekę pod Arnhem nie miały w sobie nic z elegancji nowoczesnej wojny. To było egzotyczne zmaganie się z wodą i ogniem, indiańskie skradanie się w mroku nocy, czołganie pod płasko smagającym biczem karabinów maszynowych i dzikie susy poprzez miejsca druzgotane salwami moździerzy i dział.

Przeprawa — w myśl zadania jakie Brygada otrzymała jeszcze na lotnisku w Anglii — miała się odbyć za pomocą promu, znajdującego się w rękach Dywizji Powietrznej za rzeką. Znalazłszy się w holenderskiej rzeczywistości, spadochroniarze polscy stanęli wobec zupełnie zmienionej sytuacji. Niemcy zatopili prom i zorganizowali silną obronę, odgradzając przy tym Dywizję od rzeki parusetmetrowym pasem ziemi niczyjej, będącej pod silnym obstrzałem. Od naszych sił za rzeką, wyczerpanych kilkudniowym ciężkim bojem, niczego nie można się było spodziewać.

Wołano stamtąd o pomoc. Za wszelką cenę. To znaczy potrzebowano ludzi zdolnych do walki. To znów wykluczało przeprawę "za wszelką cenę", bo przybycie na tamtą stronę zdziesiątkowanych oddziałów bez odpowiedniej broni i ze znikomą ilością amunicji — nie tylko nie przyniosłoby jakiejkolwiek korzyści, ale pogłębiłoby jeszcze tragedię. Uświadamiając sobie całą powagę sytuacji oddziałów za rzeką i słysząc rozpaczliwe nalegania wysłanników z tamtej strony, którzy ryzykując życie przekradali się na wątłej "*dingy*" — tak łatwo można było dać się porwać szlachetnemu, lecz bezrozumnemu uczuciu i porzuciwszy większość broni i sprzętu — przedrzeć się wpław na drugi brzeg. Na szczęście dowódca Brygady przewidział skutki, jakie pociągnąłby za sobą ten "piękny gest" i postanowił przeprawić oddziały jedynie w tych warunkach, w których żołnierz zachowałby wartość bojową, potrzebną dla ginącej Dywizji. Dzięki temu nie tylko że uniknął niepotrzebnych strat, ale utrzymał południowe dojście do Renu, wprowadził tam oddziały lądowych wojsk, które dotarły od południa, co wszystko umożliwiło wyratowanie ocalałej części Dywizji Powietrznej z fatalnego potrzasku.

Próby pierwszej nocy — jak wspomniałem — nie dały rezultatu. Prom nie egzystował, a zaimprowizowany przez Brytyjczyków na północnym brzegu człon z przyczepek "*jeepowych*" nie zdołał dociągnąć do wody, powodował bowiem zbyt duży hałas, który ściągnął nań cały ogień niemieckiej obrony.

Następnej nocy ciężar organizacji przeprawy przesunął się na spadochroniarzy polskich, ściślej mówiąc na saperów Brygady, którzy są głównymi bohaterami tej naszej — jak potem żołnierze stwierdzili — "przeklętej amfibii".

Jakimi środkami przeprawowymi może dysponować saper spadochronowy, który wylądował z powietrza? W zasobnikach zrzucono pięć łódeczek gumowych "*dingy*", z czego odnaleziono tylko trzy. Poza tym ma do dyspozycji tylko to, co znajdzie pod ręką. Pod osłoną wału biegnącego wzdłuż Renu saperzy wybudowali trzy tratwy, używając do tego znalezionych okrąglaków, drewnianych bram i drzwi. Łączono to wszystko linkami komandosowymi i drutem telefonicznym. O zmroku przywleczono jedną tratwę do wody i stwierdzono, że cała praca na nic. Wyporność tratwy okazała się niewystarczająca, a prąd tak silny, że z tego środka przeprawy trzeba było zrezygnować. Ograniczono się więc do "*dingy*". Ale ten rodzaj łódki o okrągłym kształcie był pomyślany tylko do utrzymywania się na wodzie, a nie do pokonywania rzeki o silnym prądzie. Poza tym zabiera oprócz dwu wioślarzy tylko czterech żołnierzy w pełnym oporządzeniu.

Chociaż nieprzyjaciel otworzył silny ogień i zniszczył jedną łódź, zdołano przeprawić na drugi brzeg prawie kompanię. Ale co to znaczyło wobec Brygady i potrzeb Dywizji.

Trzecia noc "przeprawowa" była punktem kulminacyjnym dramatycznych usiłowań Brygady przedostania się na drugi brzeg. Czołowe oddziały lądowych wojsk zdołały dostarczyć trochę środków przeprawowych, a mianowicie drewnianych łodzi na wiosła, zabierających po 18 ludzi. Ogień artylerii i kilku czołgów wojsk lądowych, oraz moździerze Brygady Spadochronowej miały osłaniać przeprawę. Znów nasi saperzy zacięli swój krwawy trud. Rozkaz do organizacji przeprawy nie dał im dostatecznego czasu do przygotowań; w ostatniej chwili nadeszły łodzie innego rodzaju, niż obiecano. Zmusiło ich to do reorganizacji już pod ogniem nieprzyjaciela. Trudny teren, rowy z wodą, błoto — wyeliminowały część czółgów osłony i samochodów z łodziami. Osłona ogniowa własna, nie znając położenia celów, strzelała tylko na kierunek, nie przytłumiając ani trochę ognia niemieckiego. Koniec końców uruchomiono tylko 9 łodzi, które odbijały z dwu punktów.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

* Por. Część I: "Przed ostatnim startem" w nr. 41 "Polski Walczącej".

Marsz do Cesano



"Niemieckie działo, rozbite ogniem naszych pocisków . . ."

I jeszcze jedno ogniwo przybyło w łańcuchu, a tym ogniwem jest operacja nad Cesano. Poprzednie ogniwa — to były Chienti, Loreto, Osimo, Ancona, Misa. Łańcuch jest długi i ciężki, toteż coraz trudniej jest żołnierzowi nieść go na swoich barkach.

Z punktu obserwacyjnego widać dokładnie cały przedmiot natarcia. Jest to pagórkowaty grzbiet, dość ostro wymodelowany i zamykający sobą około czterdzieści stopni horyzontu. Innymi słowy jest to dowolny fragment krajobrazu tutejszych stron: zbocza pokryte sadami, tu i ówdzie domki wieśniacze, obok nich stogi i tkwiące pionowo jak świece — topole włoskie. Przebiegając wzrokiem od zachodu na wschód dostrzegamy cmentarz w cyprysach, zdobyty parę godzin temu po krwawym szturmie, potem małe siodełko za rżyskiem, później zgrupowanie domków, drugie siodełko, a dalej pojedyncze zagrody, aż do wzgórza 162, wyróżniającego się dzięki dwu ażurowym wieżom, służącym za podpory dla przewodników wysokiego napięcia. Masyw spada następnie stromo ku wąwozowi, za którym widać następny grzbiet i miasteczko — Scapezzano. Patrząc jeszcze dalej na wschód spostrzegamy już tylko Adriatyk, kres wszelkich operacji, naturalną granicę każdego natarcia.

Jeśli zadać sobie trud trzeźwego rozważenia sytuacji, trudno nabrać wysokiego mniemania o dowództwie niemieckim. Sama myśl obrony na tym mizernym i łatwo dostępnym placku terenowym po to tylko, aby osłonić mizerną rzeczkę Cesano, była bzdurna. Dalsze wypadki pokażą, że dowódca niemiecki drogo za tę swoją strategię zapłacił.

Punkt obserwacyjny na krótko przed natarciem z cmentarza na wzgórze 162. Jest to chałupa, dość ordynarna, z częściowo rozwalonym poddaszem. Rąbnęły w nią trzy czy cztery pociski ciężkiej niemieckiej artylerii. Ale nikt wskutek tego nie zamierza się z niej wynieść. Przeciwnie — na poddaszu ruch, jak na giełdzie nowojorskiej podczas krachu. Wszystkie obecne osoby poruszają się w przyśpieszonym tempie i wszyscy mówią do wszystkich. W pierwszej chwili odnosi się wrażenie, że nikt nikogo nie rozumie, i że ma się przed oczami obraz najdzikszego bałaganu. Tymczasem wszystko jest we wzorowym porządku, i — daj Boże — żeby inne natarcia były tak dowodzone.

Złudzenie chaosu potęguje rozlegające się co chwila "buch-buch" — to łupi szwabska artyleria. Pociski zaczynają "wymacywać" naszą chatkę. Rano szkopy ostrzelały schron dowódcy trzeciego batalionu. Schron runął i przysypał cały sztab. Dowódcę odkopano, otrzepano z kurzu, po czym pojechał na linię. Na wojnie nikt się nie pieści. Ale ponieważ w żołnierzu są tylko ludzkie nerwy i wstrząs fizyczny szarpie nami mniej więcej jednakowo, co dziwnego, że jeszcze następnego dnia mjr. C . ., miły, skromny człowiek o młodziutkiej twarzy, wyglądał jak upiór.

Ale o czym to była mowa? Aha! Więc na punkcie obserwacyjnym dzwonią telefony, ludzie przekrzykują się nawzajem, gada przy tym radio londyńskie. Właśnie transmitują audycję z Nowego Jorku. Znacie tego skocznego cowbojskiego marsza, a po nim to zachwalanie "towaru", że Nowy Jork podaje wiadomości najprawdziwsze i bez żadnych szkodliwych domieszek. Radio wpada ni w pięć ni w dziewięć swoją cowbojską muzyką w całą sytuację, ponieważ panuje nastrój niesłychanego napięcia: lada chwila bowiem czołgi — w przeplatankę z piechotą — mają przespacerować się po grzbiecie i "ogolić" go z nieprzyjaciela. Tak się jednak składa, że dowódca baonu ma bardzo pilną rozmowę radiową i szybko uziemia się gadatliwą skrzynkę.

Czyście zauważyli, że radio polowe zawsze nawala, kiedy jest najpotrzebniejsze? Przeważnie jedna strona słyszy drugą doskonale, a druga ani w ząb nie może pojąć tej pierwszej. Prowadzi to do sytuacji, w których ludzie wzajemnie się na siebie obrażają. Dla postronnego widza jest tu nawet niezłe pole do obserwacji. Więc najpierw normalnie zrównoważona osoba zaczyna lekko się podniecać. Dalsza współpraca szatańskiego przyrządu doprowadza do coraz silniejszego rozdrażnienia, aż wreszcie widzimy, jak nagły, niepowstrzymany i jasny szlag trafia szanownego rozmówcę. Pamiętajcie, rozmawiając przez radio, o następującej dobrej radzie autora: mówcie o ile możności z podwładnymi.

Po małej godzince spóźnienia czołgi wypełzły z cmentarza i poczęły się piąć po burym zboczu. Pozornie wyglądało, że pejzaż zachowuje się z zimną obojętnością wobec tego ruchu. Ale zaraz wszystko zaczęło się w nim skręcać i obracać w proch. W ślicznych domkach powstawały dziury, dachy waliły się w głąb budynków, a stogi — jeden za drugim — zaczęły palić się jasnym ogniem. Notuję w swoim notesie, że pochód stalowych gadów jest "apokaliptyczny". Wszystkie stogi już się palą. Czołgiści potrzebują patosu. — "Kiedy jedziemy w tym jazgocie piekielnym — mówią — lubimy, jak się naokoło ściele dym ogień i śmierć".

Coraz to gaśnie jakieś życie. *Herrenvolk* przenosi się gremialnie do Walhalli. Tylko, że tego się z punktu obserwacyjnego nie dostrzega. Punkt obserwacyjny wypatruje niecierpliwie własnej piechoty, która zapóźniła się i marudzi gdzieś w tyle za czołgami. Nie mogę do tej pory zapomnieć jednego zapytania dowódcy baonu do czołgistów w natarciu:

—Czy nie macie czasem zajączków na swoich gąsieniczkach? — Nie wiem sam, czy jestem we fröblówce, czy w domu obłąkanych. A chodzi po prostu o to, czy piechota nie jedzie czasem na czołgach.

Ale i piechota się znalazła i czołgi dopełzły pod 162. Wzięto około stu jeńców i pomału zaczęła wybijać godzina dla Scapezzano. Właśnie potężne paroksyzmy artylerii wyładowywały się na miasteczku, owijając je w taki welon kurzu i dymu, że ginęło nam zupełnie z oczu. Wszystko wskazywało, że pierwsza brygada pożarła już swój przedmiot natarcia i widzicie mnie właśnie, jak w pełni tego przeświadczenia zmieniam swój punkt obserwacyjny.

A więc proszę Państwa — akt drugi. Bitwa przeniosła się w toku opowiadana o kilka kilometrów na wschód, my przesunęliśmy się jednak jeszcze dalej i w rezultacie znowu mamy ją po lewej ręce. Zbliża się godzina piąta popołudniu. Nasz nowy punkt obserwacyjny /tym razem nie chałupa, lecz pałac Ponte Vecchich/ umieszczony jest o kilometr na wprost Scapezzano. Miasteczko, jak wszędzie we Włoszech, robi wrażenie, że domy w nim są zrośnięte ze sobą. Tylko kilka budynków stoi samopas. Oto trzy,o których musimy wiedzieć. Pierwszy — poniżej lewego skraju miasteczka — to żółty "podwójny" domek. Dalej na tej samej wysokości, o jakie stopięćdziesiąt kroków domek biały, zwykła chałupa, a w odległości następnych dwustu kroków domek trzeci, mniejszy od obu poprzednich i zasłonięty krzakami. Pomiędzy linią domków a linią miasta, gdzieś w połowie wysokości, odcina się wyraźnie duża bryła szpitala.

Inny batalion czeka na chwilę wejścia do akcji. Kompanie są już w wąwozie pod miasteczkiem i czekają aż czołgi wygramolą się na 162, aby mieć dzięki nim wsparcie od lewego skrzydła. Scapezzano wynurza się na chwilę z jednej nawały, aby utonąć w dymie następnej. Czas płynie. Niemcy nie chcą jakoś przenosić się do Walhalli, ponieważ w dalszym ciągu okładają nas ordynarnie z moździerzy. Sanitariusze mają sporo do roboty, składają właśnie na podwórzu z noszy rannego sapera. Rana wygląda groźnie — całe spodnie unurzane są we krwi. Ktoś pośpiesznie rozcina materiał nożem — okazuje się, że odłamek z moździerza utkwił saperowi w pośladku. Rana mało honorowa, ale co ważniejsze — niegroźna. Zastanawiam się, czy spodnie zostaną przypisane saperowi do zwrotu?

Czołgi wciąż jeszcze nie weszły na 162, a ponieważ robi się późno, batalion nie czekając na wsparcie rusza do ataku. Kompania por. P. posuwa się wąwozem, między 162 a Scapezzano. Kompania por. Puz. naciera od czoła. Artyleria oddała teraz głos ckm-om, których zadaniem jest wprowadzenie na scenę piechoty. Kompania kpt. Pawła Fr. "wszczekuje" się w miasteczko. Ten występ solowy trwa zresztą krótko, bo już gołym okiem dostrzegamy pojedynczych żołnierzy, przemykających się koło żywopłotu, okalającego żółty domek.

Niemcy — trzeba im to przyznać — mają silne nerwy. Milczą do ostatniej chwili i strzelają, gdy przeciwnik zbliży się na odległość skutecznego strzału. Wszystkie *Spandau'y* odezwały się naraz. I te spod żółtego domku, i te spod szpitała, i te wreszcie z krzaków spod białej chałupy. Aż się zakurzyło po zboczu. Tymczasem nasi żołnierze są już za stogiem koło żółtego budynku i prażą po oknach z *tommygun'ów*. Wszystko rozgrywa się w odstępach paru sekund.

Bronią się, czy uciekli? Bronią się do ostatka. Przed stogiem wykwitają wybuchy ręcznych granatów. Jeszcze chwila i nadchodzi wiadomość, że natarcie się nie powiodło. Trzeba wycofać piechotę i "zmiękczyć" szkopów ogniem pepanców. Będą strzelały siedemnastki.

Nadchodzi meldunek od kompanii por. Bach. Są już u przeciwnego skraju miasta. Inny batalion melduje, że jego kompania wdziera się z powodzeniem w głąb pozycji niemieckich. Mechanizm natarcia pracuje jak zużyty silnik na wyboistej drodze. Szarpie, zgrzyta, ale posuwa się naprzód.

Przyprowadzają pierwszych jeńców, wziętych podczas natarcia. Młode, zdrowe byki — jest ich razem szesnastu. Podchorąży zbiera dane ewidencyjne. Sami rdzenni Niemcy: Turyngia, Szwabia, Saksonia — serce niemczyzny. Jeden tylko nazywa się Johann Jezusek. Ten pochodzi z Opola. Sądząc po powierzchowności, jest to łotr spod ciemnej gwiazdy. Wszystkie "aniołki" stoją twarzą do ściany z rękami założonymi za kark. Co z nimi robić? Patrząc na tych młodych chłopców, aż trudno uwierzyć, że są to niepoprawni zwyrodnialcy.

Padają pierwsze strzały "siedemnastek". Pociski się widzi wyraźnie. Lecą, lecą ogniste kule — wydaje się że to trwa wieki, a to tylko drobny ułamek sekundy, a potem kula jakby wsiąkała w dom, tak to wygląda miękko i niewinnie. A pocisk tymczasem przebija wszystkie ściany, i detonuje w zboczu góry. Sam naliczyłem osiem celnych trafień z "siedemnastek", a przecież grzała jeszcze zwykła artyleria. Wydawać się mogło, że w promieniu przynajmniej stu metrów żywa dusza się nie ostała. W każdym razie dom stoi jak stał. Tylko jedno z piętrowych okien przekształciło się w nieforemną jamę, a dach w narożniku załamał się do środka.

Po kwadransie piechota naciera zza tego samego stogu i . . . dostaje ogień ze wszystkich *Spandau'ów*. Tak wygląda ta dzisiejsza wojna . . .

Noc zapada i zapuszcza zasłonę na wszystkie nasze powodzenia i niepowodzenia. Miasto wciąż jest niezdobyte, a na domiar złego kompanii por. Bach. zagraża otoczenie przez Niemców. Z konieczności uchyla się na kierunek wąwozu. W tym czasie pierwsze czołgi ukazują się na widowni. Na nowo też do głosu dochodzi artyleria i przy jej akompaniamencie układamy nasze zmęczone głowy do snu. Jutro ciąg dalszy.

Rano jest już wszystko skończone. Żołnierze weszli do Scapezzano i kolekcjonują jeńców. Niemcy w ciągu nocy zdołali wycofać znikomą część załogi — większość wolała nie ryzykować skoku przez ogień polskiej artylerii. Nadszarpnięta w naszych oczach reputacja artyleryjska szybko więc zostaje naprawiona.

Scapezzano, kiedyśmy tam weszli, było jeszcze jednym więcej obrazem ludzkiej biedy i nieszczęścia. Kobiety, dzieci — to wszystko teraz zaczęło wyłazić ze schronów i zastanawiać się nad dalszym życiem. Szukamy śladów nieprzyjaciela. Na wschodnim skraju miasta stoi rozbite ogniem naszych pocisków ciężkie, niemieckie działo pepanc. W rejonie miasteczka rowy szczelinowe i głębokie schrony, wygrzebane przez Niemców, a raczej dla Niemców. Wszędzie poniewiera się porzucona w ucieczce broń. Włosi znoszą ją ochotniczo na rynek.

Jak wszędzie i zawsze jesteśmy "*liberatori*", i wszystko jest "*rubato per i tedeschi*" i "*portato via*" — co niewątpliwie jest zgodne z prawdą, słuchanie czego jednak gorsze jest, niż wojna.

Przez ciekawość wypytuję Włochów o straty. Dwóch zabitych — jeden żołnierz niemiecki i jeden Włoch, jeden cywil ranny. Oto pokłosie piekielnego ognia artylerii przez dwadzieścia cztery godziny. Zaprawdę zabicie jednego człowieka kosztuje więcej pieniędzy, niż utrzymanie całej rodziny od kolebki aż do sędziwej starości.

Dla statystyki oglądam żółty domek i szpital. Ponieważ jestem pierwszym żołnierzem, który zapuścił się w tę część miasta, ludzie spoglądają na mnie wielkimi oczami.

Obok mnie, gliniastym zboczem wzgórza schodzi jakaś kobieta. Obserwuję ją ukradkiem. Ani nędzny ubiór, ani zmizerowana twarz nic nie umniejszyły jej wrodzonej godności. Kiedy zbliżamy się do domu, kobietę ogarnia podniecenie — przyśpiesza kroku. Z bliska dopiero widać całe straszliwe zniszczenie. Całe wnętrze domu runęło do środka. Kobieta staje jak wryta. W tej chwili z ruin wychodzi mężczyzna. Jest wychudły, twarz inteligentna i smutna. Gdy dostrzegają się, kobieta bez jednego słowa, z szlochem, który przeszywa serce, rzuca się w jego objęcia.

Takich momentów nie można wymazać z pamięci.

Z wiadomości jakie nadeszły, wynika, że cały teren aż do Cesano oczyszczony jest z nieprzyjaciela. Dywizja wzięła około dwustu jeńców, wiele broni i sprzętu. Pierwsza brygada utworzyła już przyczółek po drugiej stronie rzeki. Pogrom Niemców był dotkliwy.

— — — — — — — — —

Pora już zawiesić pióro na kołku. Zwycięstwo nad Cesano opłacone zostało — jak wszystkie poprzednie i wszystkie następne — życiem i przelaną krwią żołnierzy karpackich. Idziemy drogą natarcia trzeciego batalionu — jak cienie sunące śladami stoczonej bitwy — podnosimy z ziemi zbroczone krwią karabiny, wydobywamy z fatalnego rowu hełm zabitego por. Sobolewskiego, i wchodzimy na cmentarz.

—Tu już nawet oporu nie było. Niemcy stali z rękami do góry — objaśnia porucznik, zastępca poległego dowódcy.

Na grzbiecie wiatr czesze gałęzie cyprysów. Widać Fano, widać Senigallię. W dole płynie rzeka a za nią otwierają się dalsze horyzonty. Pejzaż jest sielski, łagodny, artylerii w ogóle nie słychać.

Ale nie wolno nam dać się usidlić złudzeniom tej sielanki. Tak samo jak za każde ogniwo łańcucha w naszym pochodzie przyszło nam płacić krwią, będziemy musieli płacić tę samą cenę w dalszym marszu do Polski.

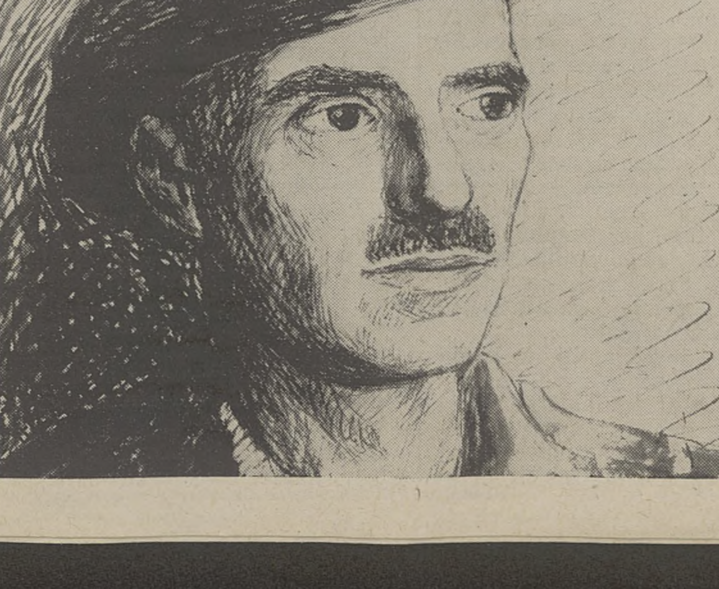
WITOLD DOMAŃSKI

GENERAŁ ANDERS "POLSCE WALCZĄCEJ"

Rysował ZYGMUNT TURKIEWICZ

ŻOŁNIERZ, WALCZĄCY NA ZIEMI WŁOSKIEJ, NA SZLAKACH LEGIONISTÓW DĄBROWSKIEGO, SZCZĘŚLIWY BĘDZIE, GDY KREW I TRUD JEGO PRZYNIESIE POLSCE PODOBNĄ SŁAWĘ, ALE TRWALSZY PLON. DRUGI RAZ IDĄC "Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKI", PRAGNĘLIBYŚMY DROGI TEJ PO RAZ TRZECI NIE PRZEBYWAĆ, LECZ POŚWIĘCIĆ SIŁY OBRONIE I ODBUDOWIE CAŁEJ I NIEPODLEGŁEJ OJCZYZNY.

Anders. 23. 9. 44.



Z frontu zachodniego

Wiatraki naszych marzeń

BRUKSELA

Bardzo przyjemnie jest przejść się bulwarem Adolfa Maxa o zmierzchu w Brukseli. Człowiek po prostu oczy otwiera ze zdumienia: to jest wojna? To jest miasto uwolnione zaledwie przed kilku tygodniami spod okupacji niemieckiej?

Wszędzie przyciągają oko wspaniałe wystawy, barwne neony zdają się być bajką przedwojennych czasów, elegancki tłum na ulicy niczym się prawie nie różni od tłumów, które krążyły po tym samym bulwarze pięć lat temu. Co prawda tu i ówdzie daje się słyszeć czasami stuk drewnianej podeszwy, co prawda ta i tamta eleganckie panie mają na pewno przenicowane kostiumy, ale . . . owiewa je zapach perfum Chanela, mają mistrzowsko uczesane włosy, cieniutkie pończochy na nogach.

Nie, nie powabny uśmiech zatrzymał mnie na ulicy. Stanąłem i patrzę na tramwaj. Jedzie sobie tramwaj ulicą, motorniczy dzwoni — cóż dziwnego? Tylko . . . że ten dźwięk dzwonka tramwajowego jakiś dziwnie znajomy. I numer. Trójka! Jedzie trójka wielkomiejską ulicą, przez neony, wystawy, przez miasto. Taka głupia myśl: wsiąść do trójki . . . ?

Wchodzę do kawiarni. Powódź światła, kwiaty, białe smokingi kelnerów. Kelner proponuje mi lody z owocami.

Nie, nie dadzą mi posiedzieć spokojnie. Oto już się dosiada jakiś Belg. Muszę odpowiadać na dziesiątki pytań, ściskać rękę.

—Tacy jesteśmy szczęśliwi — powtarza kilka razy.

Słucham długiego opowiadania o cierpieniach Brukseli. Chleb był tylko razowy. Kilo masła 400-500 franków.

—Głodowaliście? — pytam.

—Nie wszyscy, nie wszyscy, ale zdarzały się wypadki śmierci głodowej. Widzi pan — tu Belg ścisza głos — kto miał pieniądze mógł kupić wszystko. Czarny rynek funkcjonował znakomicie. Szczerze mówiąc, Bruksela teraz bardzo cierpi z powodu likwidacji czarnego rynku.

Największym jednak koszmarem był terror niemiecki. Byłem tylko wówczas szczęśliwy, gdy mogłem słuchać radia z Londynu . . .

—Niemcy nie zabrali radioaparatów?

—W Brukseli na szczęście nie. Ale w niektórych miastach zabierali. Ale to nie najważniejsze. Gdyby pan wiedział, co to znaczy życie w nieustannej obawie przed Gestapo, rewizją, aresztowaniem . . . ! *Mon Dieu*!

—A jednak — rzucam pesymistyczną uwagę — nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ta kawiarnia przed rokiem wyglądała mniej więcej tak samo, jak dzisiaj. Niech mnie pan źle nie rozumie: chcę powiedzieć, że tak samo grała tu orkiestra, ta sama mniej więcej publiczność siedziała przy stolikach. Życie toczyło się mniej więcej unormowanym trybem.

—Życie! — oburza się Belg. — Toczyło się mniej więcej normalnie, to prawda, ale to nie było życie! Owszem, do tej kawiarni przychodzili Niemcy, ale czuli się tu zawsze obco, nikt i nigdy nie obdarzył ich uśmiechem. Ten sam kelner co i panu, podawał im kawę, ale ręczę, że nie zamienił z nimi słowa, poza przyjęciem zamówienia i regulacją rachunku. Trzeba było jednak żyć rozsądnie, aby przetrwać. Ja rozumiem, pan jest Polakiem. A w waszych duszach zawsze siedzi zarzewie rewolucji. Wy zaraz musicie strzelać. A ja nie wiem, czy przez to nie straciliście więcej, niż mogliście stracić . . . *Pardon* — — niech pan mnie teraz z kolei źle nie rozumie: Belgia jest małym krajem. My nie możemy rzucać się z motyką na słońce. Musieliśmy ratować co się da. Udało się nam mniej więcej uratować kraj od kompletnego zniszczenia, uratowaliśmy od zniszczenia Brukselę. Dzięki Bogu, wojna dla Belgii jest już niemal skończona . . . Niech pan nie bierze moich słów do serca, ja patrzę na Polaków z głębokim podziwem, wiele naszych miast zawdzięcza wam wolność. Czasami sobie tylko myślę, że — mimo wszystko — nazbyt często walczycie z wiatrakami . . . !

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Wyszedłem szybko z kawiarni. Zagubiony w tłumie starałem się uciec od własnych myśli na temat Belgii, Brukseli i wiatraków.

CENA PRZELANEJ KRWI

W Antwerpii słychać jeszcze huk dział, ale największe zmartwienia tubylców zdają się ograniczać do terminu otwarcia giełdy, kursu funta i dolara, uruchomienia aparatu gospodarczego, godnego tradycji tego miasta. Nie przeszkadza to w najmniejszym stopniu przejazdowi sanitarek przez ulice.

W sanitarkach bardzo często leżą Polacy. W skrwawionych bandażach pierwszych opatrunków, bez kropli krwi w twarzach, tragicznie bezradni w swoim cierpieniu.

Stoję przed szpitalem i opuszczają mnie nagle wszelkie zwątpienia z Brukseli. Tak nie walczą i tak nie giną Donkiszoci. Jeśliby nawet, jeśliby nawet — myślę sobie — pewne rzeczy i pewne sprawy miały dzisiaj pozory wiatraków — wiatraki te zmienią się w pomniki dla przyszłych pokoleń. Brzmi to tak smutno, jak ostatnia audycja radiostacji "Błyskawica" z Warszawy. Z tej Warszawy, która powstanie z gruzów dla innego pokolenia . . .

Okropny jest zapach krwi w salach operacyjnych, zapach krwi i eteru. Przez długie korytarze płyną wózki. Trzeba spokojnie czekać w kolejce na amputację zmiażdżonej nogi.

Ale już potem, w kilka godzin potem, na bialutkiej jak papier twarzy operowanego zjawia się coś w rodzaju próby uśmiechu.

—Ale to s . . . syn ten mój porucznik! — mówi do mnie.

—Dlaczego? — pytam.

—No, bo mówię do niego: nie rusz mnie pan! Zginie pan razem ze mną! Pocisk rąbie za pociskiem, z karabinów maszynowych tłuką — a ten s . . . syn uparł się. Wziął mnie na plecy i wyciągnął. Wyratował. Uparł się.

Teraz wreszcie rozumiem. To nie była obelga, przekleństwo pod adresem porucznika. To było najwyższe uznanie, dla wyrażenia którego ranny podkomendny nie umiał znaleźć innych słów.

Nie zawsze i nie wszędzie można na czas wyewakuować rannego. Zdarzyło się, że żołnierz jednego z batalionów piechoty, ranny podczas walk nad kanałem Hulst-Axel w Holandii, przez 3 dni leżał — o ironio! — na polu zasianym kwiatami. Po prostu sanitariusze nie znaleźli go po walce.

Przez cały dzień drogą jechały polskie czołgi i samochody. Ranny krzyczał, wzywał pomocy. Nie zauważono go. Usiłował doczołgać się do drogi i nie mógł. Na całe godziny tracił przytomność, uwikłany w pachnące, cudowne kwiaty.

Dopiero na trzeci dzień rano, po dwóch nocach, które ranny spędził w polu — ktoś zauważył ludzką rękę, wystającą znad kwiatów. Ranny nie miał już sił, aby wołać. Na pół przytomny podnosił tylko od czasu do czasu rękę.

Uratowała go natychmiastowa transfuzja krwi i opatrunek osobisty, który zdołał sobie sam założyć.

Tak, jak potrafią cierpieć, tak samo dzielnie potrafią ginąć polscy żołnierze. Na zawsze w historii 1. Dywizji Pancernej pozostanie czyn plutonu czołgów, których dowódca nadesłał meldunek:

—Atakuje nas 16 "Tygrysów" i "Panther". Prosimy o pomoc.

Odpowiedź radiowa brzmiała:

—Pomoc w tej chwili niemożliwa. Nie opuszczać stanowiska. Zasłonić się dymem. Bronić się.

Rozkaz został wykonany. Bronili się do ostatka. Zginęli wszyscy. Nie jeden i nie dwa przykłady najwyższego samozaparcia i poświęcenia dałyby się znaleźć w kronikach poszczególnych pułków. Niejeden też czyn żołnierski zginie na zawsze w niepamięci.

Jedno jest pewne: że to nie Donkiszoci walczą z wiatrakami, że nie dla interesów grupy czy klik politycznych, leje się ta drogocenna krew Polaków. Ten żołnierz wie o co walczy i wie, do jakiej Polski chce wrócić. Niech nikt i nigdy nie stara się mu wmówić, że służy jednostkom, a nie ojczyźnie, niech nikt nie stara się go łudzić mirażami zdradzieckiej i fałszywej propagandy. Ten żołnierz jest twardy i odporny. Jak bardzo odporny, zrozumie ten, kto widział go podczas walki w dniu upadku Warszawy. Ja go widziałem w tym dniu w bitwie o Baarle-Nassau.

Może właśnie upadek Warszawy zadecydował o tym, że Baarle-Nassau, gdzie Niemcy zgromadzili olbrzymią ilość artylerii i broni przeciwpancernej — zostało zdobyte szybciej, aniżeli przewidywały założenia operacyjne. W dniu tym Polacy szli w ogień z rozpaczą w sercu, ale również z nieubłaganą wściekłością w oczach. Przez zapory, pociski i pułapki, w piekle ognia — szli zdobywając teren metr po metrze. Nie dla Holandii, nie dla Londynu i Waszyngtonu. Dla Warszawy, która upadła, dla Warszawy, której ta ziemia nie jest potrzebna, dla Warszawy, której oni nie mogli bronić.

Zwyciężyli. Zwyciężyli jak pod Falaise, jak pod Chambois, Abbeville, St. Omer, Ypres, Roulers, Thielt, Ruysselede, jak nad kanałem Hulst-Axel, jak pod Terneuzen. Jak wszędzie, kędy przeszli.

Właśnie tam, w Baarle-Nassau, widziałem scenę, której nigdy nie zapomnę.

Na kamiennej posadzce domu, wstrząsanego nieustannymi wybuchami pocisków, leżały ciała polskich żołnierzy, zabitych lub zmarłych z ran. Obok tych ciał zakwitła czerwona kałuża krwi, która jeszcze nawet nie zakrzepła.

W pewnym momencie do domu wszedł żołnierz i niebacznie stanął nogą w tej krwi. Zerwał się na to siedzący w izbie starszy sierżant, sierżant, który przed chwilą wrócił z walki, wymęczony do ostatka, z twarzą pokrytą kilkudniowym zarostem:

—Nie depcz krwi! — krzyknął. — Otrzyj but! Nie depcz krwi!

Potem wstał, wyciągnął ręcznik z chlebaka, przyniósł kubeł wody, i zaczął powoli, dokładnie, zmywać krew z podłogi.

Gdy skończył swoją pracę rzucił twardym głosem przed siebie:

—Za tę krew nikt nam nie zapłaci!

Tak, za tę krew nikt nam nie zapłaci. Ani wy, czarni giełdziarze uwolnionej Europy, szwindlujący już pod giełdami uwolnionych stolic, ani wy — cierpiętnicy z wytwornych kawiarni, ani wy — zawodowi kollaboracjoniści, maszerujący dziś po ulicach, z piosenką na ustach. Nie zapłacicie nam za naszą krew, tak jak nie jesteście zdolni zapłacić za krew waszych współrodaków, rozstrzelanych w piwnicach Gestapo, jak nie zapłacicie za krew żadnego żołnierza Sprzymierzonych.

Bo na krew nie ma ceny.

My — Polacy — wiemy już o tym od wieków.

WIATRAKI NASZYCH MARZEŃ

A teraz — zapomnijmy na chwilę, że jest wojna. Dwadzieścia kilometrów za linią frontu jest już cisza. Słońce wędruje po polach, wiatr spokojnie liczy liście na drzewach.

Siądź spokojnie pod drzewem, zapomnij na chwilę, że tam — za ciemną linią horyzontu — walczą Polacy.

Patrz — wiatrak. A tak. Przecież to Holandia . . .

Opodal jest wioska. Dym majestatycznie wyrasta nad kominami. Rodziny wracają z pola do domu.

Spokojnie. Szczęśliwie.

To my przynieśliśmy ten spokój do wsi. To my gwarantujemy dzisiaj życie jej mieszkańców.

Jakaś stara piosenka nagle budzi się we wspomnieniach:

" . . . *Tak niewiele ludziom trzeba —*
Trochę szczęścia, trochę nieba . . ."

Mój Boże! Nam też trzeba niewiele. Byle taki mały dom na polskiej ziemi, byle to słońce zaglądające do okien i pewność, że w tym domu i na ziemi możemy sami gospodarzyć, po polsku, po swojemu . . . !

RYSZARD KIERSNOWSKI

Wieczór na lotnisku

Dochodzi godzina siódma. Słońca już nie widać, ale w stronie, gdzie zniknęło za horyzontem, niebo czerwieni się jeszcze i złoci.

Jesteśmy na lotnisku alianckim na północy Francji, w samym sercu tak zwanego *Pays Noir* /czarnego kraju/ — francuskiego zagłębia węglowego. Polacy — jest ich tu całe skrzydło myśliwskie — polecieli gdzieś nad Holandię i wrócą dopiero za pół godziny; na razie oprowadza mnie po lotnisku jeden z oficerów personelu ziemnego.

Czarny Kraj, to główne skupisko emigrantów polskich, górników.

—Przywitano nas tu fantastycznie — mówi porucznik — zaraz tego samego dnia, kiedy przyjechaliśmy, zaczęli się schodzić Polacy na lotnisko, znosili nam prezenty, zapraszali do domów, a kobiety od razu pozabierały nasze ubrania i bieliznę do prania i reperacji. W Roubaix urządzono dla nas specjalne przyjęcie i akademię; a następnego dnia górnicy i ich synowie ławą przyszli na lotnisko zgłaszając się na ochotnika do wojska.

Ponieważ władze polskie we Francji nie miały jeszcze aparatu potrzebnego dla rekrutacji ochotników, a lotnikom żal było odsyłać ochotników z niczym do domów, załatwili więc sprawę po swojemu: pusty dom koło lotniska zarekwirowali na baraki i sami mieszkając pod namiotami, umieścili pod dachem nowych żołnierzy. Podzielili się też z nimi swymi racjami, żywnością, papierosami i nawet mundurami. Wojsko ochotnicze skoszarowane przy lotnisku liczy już dzisiaj przeszło dziewięćset ludzi.

—Poza tym na lotnisku nic się specjalnego nie dzieje — mówi dalej porucznik. Od sześciu tygodni nie widzieliśmy już Niemców, latamy przeważnie na bombardowanie w bezpośrednim poparciu akcji wojsk lądowych.

Idziemy do *Flying Control* /kontrola lotnicza/.

W ciężarówce z oszklonym dachem siedzi służbowy oficer, rudawy, różowy, uśmiechnięty Anglik. Dokoła, ze wszystkich stron, tablice rozdzielcze, zegary, światełka, telefony.

—Pierwszy polski dywizjon powinien lądować za siedem minut — mówi nam Anglik.

Wychodzimy z *Flying Control*, wypatrywać "Spitfire'ów" Dywizjonu Krakowskiego, które zbliżają się do lotniska. Słońce już zupełnie znikło, i tylko gdzieniegdzie chmury się jeszcze różowią; podnosi się zimny, przenikliwy wiatr jesienny. Dowódca dywizjonu, 28-letni major Witold R. patrzy z niepokojem w górę. Niebo coraz ciemniejsze, a tu przecież dwadzieścia kilka "Spitfire'ów" musi jeszcze wylądować.

Nareszcie ukazuje się na horyzoncie samolot. Wielkie czarne ptaszysko przelatuje na kilkaset metrów zaledwie nad ziemią, z szumem i warkotem okrąża lotnisko i podchodzi do lądowania. Nie "Spitfire" ale "Liberator". Ledwo pierwszy usiadł, wypada nad lotnisko drugi. Trzeci. Dopiero po chwili z północy nadlatuje pierwsza szóstka "Spitfire'ów". Są o kilkaset metrów wyżej, niesłychanie małe i zwinne w porównaniu z sapiącymi czterosilnikowcami. Robią jedno okrążenie, rozsypują się do lądowania, jeden już jest na prostej do *runway'u*, gdy nagle brutalnie przecina mu drogę jeszcze jeden "Liberator". "Co jest, co?! . . ." woła z oburzeniem dowódca *flight'u* i biegnie do *Flying Control*.

—Jest cyrk — mówi, wracając po chwili. Pierwszorzędny cyrk. Trzydzieści amerykańskich "Liberatorów", benzynowy konwój powietrzny czeka na wylądowanie. Plus blisko trzydzieści polskich myśliwców. Plus *flight* angielskich "Typhoon'ów".

Cyrk zaczyna się bardzo szybko. W ciągu kilku minut zjawia się nad lotniskiem jeszcze kilka "Liberatorów", jeszcze kilka "Spitfire'ów", "Typhoony". Krażą, jak oszalałe, przelatując nad lotniskiem w różnych kierunkach i z różnych stron.

Myśliwcy polscy, których zapasy paliwa są już prawdopodobnie na wyczerpaniu, otrzymują pierwszeństwo lądowania. Anglik kontrolujący ze swojej ciężarówki "Spitfire'y" krzyczy przez telefon do kolegi we *flying control* pilnującego "Liberatorów": *"Keep them flying! Keep them flying! . . ."* /Niech latają!/. Amerykanie w "Liberatorach" mają jednak na ten temat swoje zdanie. Są to wszystko piloci dzienni i lądowanie w ciemnościach bynajmniej im się nie podoba; coraz któryś wypada niespodzianie i wali prosto na *runway*, aż go w ostatniej chwili rozpaczliwie rakietami z ziemi odpędzają.

Ostatecznie Polacy zaczynają lądować.

Podoficer angielski podbiega do *jeep'a* majora Witolda R.

—*Sir, one of the Poles seems to be in trouble* — melduje. /Z jednym z Polaków coś jest zdaje się, nie w porządku/.

We *Flying Control* major zajmuje miejsce oficera służbowego i woła do mikrofonu:

—Hallo, hallo . . . Tu mówi dowódca dywizjonu. Ile masz benzyny?

—Trzydzieści litrów — odpowiada głos z przestrzeni — zacięła mi się rączka od podwozia, nie mogę jej w żaden sposób ruszyć.

—Trzydzieści litrów? O.K., nie denerwuj się. Spróbuj jeszcze raz pociągnąć rączkę. Spokojnie.

—Już próbowałem, nie rusza się.

Ten chłopak w samolocie to nowicjusz, który dopiero parę dni temu przybył do dywizjonu ze szkoły.

—Spróbuj jeszcze raz — mówi dowódca.

Chwila ciszy.

—Nie, nie da rady. Nie rusza się.

—Zaczekaj chwilę — odpowiada dowódca. — Zaraz wracam. Zdaje się, że będziesz musiał lądować bez podwozia.

Oba głosy, i ten w ciemności i ten we *Flying Control*, brzmią bardzo spokojnie i opanowanie. W tym z góry jest może, ledwo dostrzegalna emocja.

—Przygotować lotnisko do przymusowego lądowania. "Spitfire" nie może próbować siadać na *runway'u*, bo kilkadziesiąt innych samolotów kołuje jeszcze nad lotniskiem czekając swej kolejki. Oczyścić łąkę, usunąć ciężarówki z benzyną. Mały będzie siadał na trawie.

Mija nas sznur ciężarówek przenoszących się pośpiesznie na drugą stronę lotniska. W przeciwnym kierunku pędzi sanitarka i wielki samochód-dźwig. Major R. wraca do *Flying Control*.

—Hallo, Hallo! tu mówi dowódca. Będziesz lądować bez podwozia, na trawie. Weź kierunek północo-wschód od *runway'u*. Wszystko gotowe. Tylko uważaj — dorzuca — na końcu pola są trzy szeregi namiotów, żebyś nie zawadził. I pamiętaj, spokojnie.

Niebo jest zupełnie czarne. Nic nie widać, nad głowami wszystko nam huczy i szumi. Gdzieś, wśród tych samolotów, zgubiony w ciemności, w zepsutym "Spitfire" jest 21-letni chłopak, który wraca z drugiego w życiu lotu bojowego i właśnie ma lądować bez podwozia, w nocy, na nieoświetlonym polu. Spokojnie.

Daleko, bardzo daleko widać parę świateł. Odrywają się od kręgu innych i schodzą niżej, coraz niżej, aż wreszcie nikną przy ziemi. Wylądował. Pędzimy *jeep'em* na przełaj przez pole.

Mały, biedny "Spitfire" leży przechylony na jedno skrzydło w wyrytej w ziemi bróździe. Wygląda prawie zupełnie nieuszkodzony. "Porządne lądowanie" — mówią mechanicy, którzy już, jak spod ziemi wyrośli, znaleźli się przy maszynie i nawet po ciemku przy niej majstrują czy coś wymontowują. — Za dwa dni będzie latać.

Północna Francja, wrzesień, 1944.

HALINA TOMASZEWSKA

Redakcja "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam sumę £10 /funtów dziesięć/ zebranych wśród pilotów Dyonu Warszawskiego na pomoc Warszawie.

Dowódca . . . Dyonu Myśliwskiego
D.Z. kpt. pil.

* * *

Uzyskany rabat w sumie sh.15 z rozsprzedaży na terenie jednej z Polskich Eskadr Technicznych w miesiącu wrześniu "Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza", "Polski Walczącej" oraz "Skrzydeł", przekazuje Postal Order'em na pomoc Warszawie.

Z poważaniem

M.Z.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",
Przesyłamy czek na £30 na pomoc dla Warszawy, w czym:
od firmy W. Filski £25
i od pracowników tej firmy £5.
Z poważaniem

podpis nieczytelny

Na pomoc Warszawie: £834

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam £1 ofiarowany przez panią M. Sokołowską, Dulwich, 352 Upland Rd. na pomoc Warszawie.
Z poważaniem

Stefan K. por.

* * *

Pan Redaktor "Polski Walczącej",
W związku z akcją zbiórkową na pomoc Warszawie, żołnierze Ośrodka Wyszkolenia Bojowego Załóg Bombowych przy 18 O.T.U., składają na ręce p. Redaktora kwotę £106.4.11, z prośbą o przekazanie tej sumy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi na pomoc Rodakom osadzonym w obozie w Pruszkowie.

Składając tę kwotę, żołnierze tut. Ośrodka pragną wyrazić nie tylko swój podziw Obrońcom Warszawy ale także mają nadzieję, że pociągną tym przykładem inne jednostki do poparcia akcji zbiórkowej.

Komendant Ośrodka
W.D. mjr. nav.

Redakcja "Polski Walczącej",
Zgodnie z życzeniem ofiarodawczyni, przesyłam za łaskawym pośrednictwem Redakcji Money Order VJ-41848 na sumę: 5 funtów i 5 szylingów /słownie: pięć funtów i pięć szylingów/ na pomoc Warszawie.

Kwota ta została mi wręczona w dniu 11.X.44. przez Szkotkę, p. Linton z Musselburgh, w kopercie z napisem:

"For the Warsaw Fund with deep sympathy," Mrs. Violet E. G. Linton, Musselburgh, Scotland.

kpt. K.M.M.

* * *

W załączeniu przesyłam British Postal Orders 828693, 828694, 828695 na £3 /słownie: trzy funty szterl./, ofiarowane przez Mrs. M. Barker, Greenock /£2/ i Mrs. MacLoughlin, Greenock /£1/ na pomoc dla Warszawy.

Of. Flagowy K-dy Morskiej "PN".
J.An. por. mar.

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam czek na kwotę £1 /jeden funt/ z prośbą o przekazanie na fundusz dla cierpiącej Warszawy.
Z poważaniem

J.M.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",
Przesyłam £3 na fundusz Pomocy Ludności Warszawy.
Z poważaniem

Sheila Witalska

* * *

Dear Sir,
Would you please accept enclosed postal order for sh.10 to help the people of Warsaw.

R. and V.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłamy money order na sumę £10 /dziesięć funtów/ z prośbą o przekazanie na fundusz pomocy ludności Warszawy.

M. i K. Płoszajscy

Szanowny Panie Redaktorze!
Na skutek powstania warunków, które uniemożliwiły dalszą pomoc jeńcom — żołnierzom żandarmerii i ich rodzinom w Kraju, zostaje zlikwidowany "Fundusz Żandarmerii", a pozostałość w wysokości £172.11.10¾ przekazuję na pomoc dla "Pruszkowa".

Za Zarząd
Funduszu Żandarmerii
G. Mieczysław mjr. żand.

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £11.14.0 /jedenaście funtów, czternaście szylingów/ — sładkę oficerów i szeregowych tutejszego Oddziału z przeznaczeniem na Pomoc Warszawie, zamiast kwiatów na grób Ks. Kapelana Tomasza Samulskiego.

Komendant Kursu Doskon.
Admin. Wojskowej
ppłk. dypl. S.M.

* * *

Przesyłam w załączeniu przekazy pocztowe na sumę £17 /siedemnaście funtów/ zebranych przez Czołówkę Naprawową Saperów 1. Dyw. Panc.
Pieniądze proszę przekazać na fundusz pomocy dla "dzieci Warszawy".
Z poważaniem

W. Poklewski Koziełł

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £372.0.9¾ /słownie: trzysta siedemdziesiąt dwa funty i dziewięć i ¾ pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £834.4.0¼ /słownie: osiemset trzydzieści cztery funty, cztery szylingi i ¼ pensa/.

POSZUKIWANIA

Kto mógłby udzielić informacji o losie ppor. Ludwika PRZEDNÓWEK, zabranego w 1939 r. ze Lwowa — zechce ją łaskawie przesłać sędziemu Karolowi PRZEDNÓWEK, Polish Refugee Settlement Rusape, Southern Rhodesia, South Africa.

P. FRANCISZEK WÓJCIK, syn p. Władysława Wójcika przebywającego obecnie w Montevideo, jest proszony o podanie adresu do Redakcji "Polski Walczącej", która ma dla niego ważną przesyłkę.

DYNOWSKI TADEUSZ /Polish Forces, C.M.F. 104/ poszukuje brata ANTONIEGO, zamieszkałego przed wojną w Zbarażu /korpus/.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir,
Will you please put enclosed £20 to the Polish Children's Relief Fund.
I have raised this money during the past few months by making and selling toy animals; many kind friends have helped me with this effort.

Yours sincerely,
Hilda Timmins /Miss/

* * *

N.N. sh.10 na biedne dzieci polskie, zamiast kwiatów na grób.

NA KAPLICĘ POLSKĄ W MONTE CASSINO

Do Redakcji "Polski Walczącej"
na ręce
Pana Generała
Ministra Obrony Narodowej.
Stowarzyszenie Filatelistów Polskich w W. Brytanii ze sprzedaży 200 specjalnych karnetów, wydanych ku uczczeniu świetnego zwycięstwa polskiego, składa na budowę Kaplicy Polskiej na Monte Cassino £50 /pięćdziesiąt funtów/.

Za Zarząd:
Dr. A. Hartman
Prezes Stowarzyszenia

GENERAŁ SIKORSKI MEMORIAL HOSPITAL FUND

From Miss E. Hodgson, 108, Pitt Street, Edinburgh, 3.
For the Sikorski Memorial Appeal sh.5.

NA P.C.K.

Kwotę sh.19 złożyli uczniowie Dywizjonu Wyszkolenia Przedwstępnego Lotnictwa RAF'u z przeznaczeniem na Polski Czerwony Krzyż.

pchor. Z.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

DOPISEK

Na jednym z baraków Szkocji wywieszono afisz propagandowy: "Na oszczędności Twoje czeka Rodzina i Kraj". Ktoś dopisał ołówkiem: "Oby nikt więcej" . . .

W PEWNYM SZPITALU

Do siostry szpitalnej zwraca się rano lekarz:
—No jak się udał dyżur?
—Doskonale, wszystko w porządku, tylko czterech markierantów zmarło w nocy . .

POLICJANT-KONSERWATYSTA



—Mam cię ptaszku, zapłacisz mi za to światło! . . .

NIESZCZĘŚLIWY OPTYMISTA



—Co ci się stało?
—Nic! Mieliśmy tylko dyskusję na temat zakończenia wojny. Ja twierdziłem, że wojna się zakończy za miesiąc . . .

OD ZAGŁOBY DO MACZKA . . .

Dawniej Zagłoba sprzedawał Niderlandy — dzisiaj Maczek kupuje serca Holendrów . . .

LONDYŃSKA KOPALNIA

Autora "Werinajska" zapytują rodacy:
—Skąd się panu biorą takie pomysły?! Gdzie je pan wyszukuje?!?
—Aaa, bo ja mam "wykrywacz win" — londyńskich . . .

FRASZKI FLAMANDZKIE

TO, CO NAJGORSZE

Zapytałem żołnierza: Niech powie kolega,
co mu na tej wojnie najbardziej dolega?
Czy brak snu? Ogień z armat, lub ogień
z moździerzy?
Albo może naloty? Niemieccy "sniperzy"?
Ja wiem. Wojna straszna, okrutne ma chwyty!
Powiedz, co w niej najgorsze? — Odparł mi:
"Biskwity!"

ZAWSZE TEN SAM

Dawniej w Szkocji zapewniał swe znajome liczne,
że posiada on dobra wielkie i dziedziczne.
Dziś Flamandkę uraczyć pragnie w sposób szczery
kolekcją kłów Tygrysa i skórą Pantery!

JESZCZE O WORKU

"Otwórz worek — rzekł pan szef — my się dobrze
znamy!
Dziś z kuchni mi zniknęły konserwowe "spamy".
Ów odparł: "Worek? Nigdy! Z wojny to wynika,
że Polak nie otwiera worka, lecz zamyka!"

KRAJ TULIPANÓW

Już jesteśmy w Holandii! Tylko się zastanów,
jak pięknym jest krajem ten kraj tulipanów . . .
Jeden z mych czytelników na to się rozczuli.
Do panów się nie liczy, więc go nikt nie tuli.

WODA

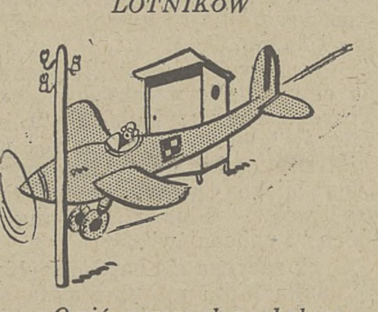
Chcąc, abyśmy za nimi zdążali pomału,
Niemcy przed nami wodę spuszczają z kanału.
Takie oto są dla nich zgubne wojny skutki:
wodą się zalewają, bo nie mają wódki!

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE

Coś zrobił, gdyś w Holandii pierwszym stanął
mieście?
Czyś najpierw odpoczynku poszukał nareszcie?
Czyś jeńców wziętych liczył? lub zdobytę treny?
— Odparł: "Najpierw zmieniłem franki na
guldeny!"

OR-SI

PRZESTROGI DLA MŁODYCH LOTNIKÓW



. . . Omiń zawsze słup, chałupę,
Bo inaczej stłuczesz — motor . . .

TAJEMNICA PRASOWA . .

—Mój panie, co to się stało, że prasa nic nie pisze o naszych spadochroniarzach w Holandii?
—To celowo! Musi być zachowana tajemnica, ażeby Japończycy nie dowiedzieli się o miejscu ich lądowania . . .

ZNAWCA . . .

Anglik: — Wy Polacy twierdzicie, że utrzymywaliście najlepsze stosunki ze Wschodem, tymczasem ja dowiedziałem się, że stale mieliście "Targi Wschodnie" . . .

AKTUALNOŚCI

—Pan wraca z Londynu? No co tam słychać?
—Pożeranie się wzajemne . . .
—Ale ja pytam o bomby?
—Grzeczne są! . . .

SPROSTOWAŁ . . .

W pewnym szpitalu odwiedza rannych jakaś pani.
—Pan gdzie był ranny?
—Pod Monte Cassino . .
—A pan?
—Pod Anconą . . .
—A pan?
—Obok Piccadilly . . .
—Pewnie od szyby?
—Wręcz przeciwnie — od okiennicy . .

W EDINBURGHU



—To pańskie dzieci?
—Tak, chcę im pokazać jak się palą światła . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

DO RANNYCH KOLEGÓW ZE STRAŻY GRANICZNEJ

Sekcja Straży Granicznej prosi Kolegów, przebywających w szpitalach o możliwie śpieszne podanie swych adresów do: Działu Adm. Okup., Sekcja Straży Granicznej, 12/13 Grafton Street, London, W.1.

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.